

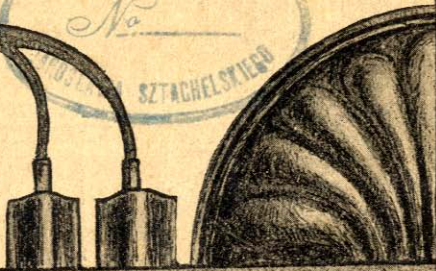
BIBLIOTEKA MIŁOSNIKÓW SCENY.

57, 58

Adolf Starkman.

NA ESTRADĘ

Monologi, dialogi i deklamacje.



WARSZAWA. JAN FISZER.

Cena 50 kop.

Wydawnictwa Księgarni JANA FISZERA
w Warszawie, Nowy-Świat 9.

POLAK

Ułatwione metody szybkiego nau-
czenia się języków *bez nauczyciela*;
w ANGLII i AMERYCE
w CZECHACH
we FRANCJI
w NIEMCZECH
w ROSSJI
we WŁOSZECH
zawierają wszystkie wyrażenia po-
trzebne w życiu codziennem. Nie-
zbędne dla podróżujących.

Cena każdej metody 50 kop.

S Z T U K A ZDOBYCIA PAMIĘCI

(Mnemonika)

Sposoby wyrabiania uwa-
gi, zapobiegania roztar-
gnięciu, odrodzenia władz
pamięciowych i utrwalen-
ie pamięci aż do schyłku
życia.

Napisał *M. Rościszewski*.
Wydan. II popr. i uzupełn.

Cena 60 kop.

Chiromancja Indyjska

(wróżenie z ręki)

z 5 rysunkami.

Sposób odgadywania
przeszłości.

J. B. Dale

przekład z angielskiego

W. Szukiewiczza.

Cena 50 kop.

Dobry ton

Szkoła pożycia z ludźmi wszelkich
stanów w stosunkach poufnych i ce-
remonialnych. Dla pań i panów.

Napisał *M. Rościszewski*.

Cena 60 kop.

PROSZĘ OGŁOSI

Zbiór toastów wierszem
i prozą oraz mów, zasto-
sowanych do uroczystości
rodzinnych, wydarzeń o-
kolicznościowych, zebrań
towarzyskich i t. p.

Wydanie trzecie.

Cena 50 kop.

TANCE SALONOWE.

Bogato ilustrowany
przewodnik dla tance-
rzy i wodzirejów za-
wierający tańce da-
wniejsze i najnowsze.

Ułożył *M. Rościszewski*.

Cena 90 kop.

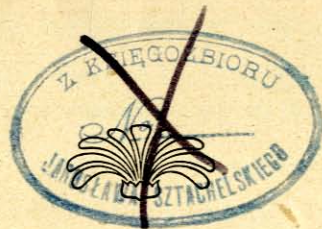
BIBLIOTEKA MIŁOŚNIKÓW SCENY.

№ 57, 58.

Adolf Starkman

NA ESTRADĘ

Monologi, djalogi i deklamacje.



WARSZAWA

Nakład JANA FISZERA

Nowy-Świat 9



69183

Druk. W. Cywińskiego, Nowy-Świat 36.

K-140/16/69584

W szeregu utworów, jakie ukazały się w druku w ciągu ostatnich lat kilkunastu, a przeznaczonych dla popisów estradowych, najpopularniejszymi okazały się monologi Adolfa Starkmana, to też pojedyncze ich zeszyty, mimo kilkakrotnych wydań (nie włączając galicyjskich) uległy w handlu księgarskim zupełnemu wyczerpaniu. To mnie zachęciło do wydania ogólnego zbioru monologów Starkmana, przyczem w wydaniu tem nie tylko uwzględniłem monologi, cieszące się największem uznaniem lecz nadto autor — zbiorok niniejszy uzupełnił paroma nowymi monologami, nigdzie jeszcze dotąd nie drukowanymi ani wypowiedzianymi.

Wydawca.

Z POD Nr. 7.

Wchodzi na estradę stróż, w przebraniu charakterystycznym, z miotłą w ręku.

A godałem nie roz i nie dwo: nie łaż zydzie, bo cię przegonię! U nas stydantów nima, jeno porzundna kamienica i same panowie, to łacha nie kupisz! A to, bestyo nie i nie! Łazi ino ciągiem a wrzeszczy: andeł, andeł, andeł! Aha!... Popamiętas ty tero siódemkę... Takiem ci go sprai miotłą, że mu się jeno broda trzęsła od strachu... *Po chw.* Oj, co ta kłopotu ma bidny stróż koło domu!... Ani ci se człek wyśpi, ani zje, — nieprzemierzający jak te panowie z czwartego pientra, co to na obiad, kiele trzeciej wsuwają serdyłki, a w noc to ich nie widać, chyba o jakiej piątej abo czwartej... (*Uśmiechając się dwuznacznie*). Padają, co im wstyd przed struplem tak rankiem do domu przyłazić, a mnie się widzi, że to ino bez to, coby się od dychy wykręcić... Oj, te panowie! Z czygo to zyje, to niby trudno się domacać... Chodzi to wy-

galantowane, jak sam gospodarz, czelendery gładkie, jak u pana rządcy, a harde ci to, jakby kiedy rubla widziało!.. Jeden, to mieszka u nasz już dwa roki na Świętygo Jana i nic nie robi, jeno ciągiem pendzluje na płótnie jakieś figury, ale to ci takie cudaczne, że niech rynka Boska bronil!.. Jakiem ci raz takie figury obaczył, bom właśnie chodził po komorne od tygo maljarza, tom ci se tak uśmieł serdycznie, że się pan lekatur zagniwał.. na prawdę. .

— Czygo ty tak zęby szczyrzysz, małpo jedna?... mówi do mnie grzycznie.

— Zęby szczyrzę to szczyrzę, ale małpą nie byłem i nie bandę, jeno dawniej u ryjenta na posługach, com chodził z listami, a tero — pedam — jezdem stróżem pod siódmym i basta!.. (*Bierze się pod boki.*)

A pan niech ta płaci za komorne, a płótna nie marnuje — padam, bo žal. Kazałby pan sien-
nik lepiej zrobić i tyła...

Jakem ci to rzykł, chycił mnie pan maljarz za czuprynę i wyrzucił z mięszkania... Tera to czyka pod bramą, jak nocny, zanim mu otworzę... Stróż to pon... Jeno nie przed panem gospodarzem, przed panem rządcą i przed panem naczelnikiem!... U! tero u nas je zły pan naczelnik! Tak pilnuje porządku, tak ciągiem zagłada, że to ha!

— Pilnuj, goda, bo won pójdiesz, a jak złapiesz złodzieja, to pójdiesz do nagrody, rozumisz?

— Cygo nimam rozumieć?... Rozumiem, kiej pan naczelnik goda, to muszę...

A no: jakem ci zaczon pilnować, takim złapał! Patrzę, a ci raz baba jakaś grzebie w śmietniku i ma tłumok pod pachą... Grzebie, grzebie, a tu widzę, co tłumok rzuco do śmietnika i gania bez podwórze do bramy... Łapię babę i trzymom.

— Gadaj, padam, coś miała w tłumoku?..

— Gałgany! — mówi.

— A no, to obaczę. Pociągnęłem babę do śmietnika, odgorniam łachy, a tu słucham, coś piszczy... Patrzę — a tu ci dzieciok, jak kuminiorz, nogami trzepie, a piszczy jak przy chrzcie św. A no, sprołem babę, jak należy, potem przyszedł pon naczelnik, baba poszła do ula, dzieciok do szpitoła a ja wzięłem trzy ruble za służbę..

O! myślę sobie, tero to ja ci co dnia kogo przycupię... (*Po chw.*) Było pewnikiem kiele dobre-go zmierzchu, a tu patrzę, jakiś pan kręci się po podwórzu, kręci, a potem wszedł w oficynę... Siedział z pół godziny, może krzynkę mniej a tu widzę, wyłazi do bramy z ogromnom walizą...

— A pan kto taki? padam do niego.

— A to nie twój interes! gada mi.

— Taki ty bratku złodziej! mówię jemu; zamykam bramę i krzyczę: złodziej!.. A on mnie hycel chlust za to w gębę! Ja jego nazad... On mnie w ucho, ja jego bez łeb, on w kark, ja

w ziebro. Lekatury wylecieli wsyćkie na podwórze, hałasu było co niemiara, a krew to ci w bramie ciurkiem leciała!

Przyszedł pan naczelnik, poszedem do cyrkułu, a złodzieja tośmy zawieźli w dryndzie do ula, bez to, co już łązić nie mógł...

A no, przychodzimy do cyrkułu, pan komisarz pyta złodzieja, jak się nazywa?

A on powie: nazywam się Walenty Mazgajski, a mieszkam na Sosnowej pod piątym...

Potym to go pyto, co pan tam robił z tą walizą? A un powie: proszę pana komisarza, ja jezdem rymarz i zabrałem te walizę od państwa Gapowskich, bez to, co nowe paski dać potraza...

A no, jak się ta heca sprawdziła, tom w ulu bez trzy dni ciągiem leżał jak sobaka, a baba me w izbie sprąła jak psa... (Po chw.) Oj, bidnaż dola stróża, bidnaż! *Odchodzi.*

W MENAŻERYI.

Byliśmy w menażeryi... a lew,
Co siedział tam, jak baran cicho —
Nagle zaryczał... i w głąb schował głowę!..
Czy zatęsknił do swych pustyń drzew?..
Czy go jakie opętało lichy?..
Nie!.. on się spojrział na moją.. teściową!..
~~~~~

### ŻONA.

(Wchodzi na estradę, widocznie zaafierowany, rozgląda się bacznie po sali, poczem mówi z ferworem:)

No, naturalnie! Panowie macie wesołe, uśmiechnięte miny, panowie macie humor! Chcieliście panowie przyjść na koncert i przyszlście, a jak się koncert skończy, to pójdziecie sobie, gdzie wam się żywnie będzie podobało i dobrze! To rozumiem! To się nazywa swoboda! Panowie! najserdeczniejsze powinszowanie od człowieka, który znajduje się w położeniu małżonka... Tak jest. Od człowieka, który znajduje się w sytuacji niewolnika, którego każdy krok kontrolowany jest przez parę wiecznym ogniem ziejących oczu! Ztąd — dotąd nigdzie ruszyć się nie mogę, żeby nie wiedziała o tem moja zacna magnifika! Niechno tylko spróbuję sięgnąć po kapelusz, w tej chwili usłyszę jej głos: — Mężu, dokąd idziesz? — Ja nie wiem, ale to jest jakaś nadludzka kobieta, ta moja żona, bo ona przez cztery ściany widzi, co ja mam z sobą zamiar robić! Czasami, jestem najpewniejszy, że zdołałem nareszcie choć raz przecieżyć ująć jej uwagi, ale nie! Ledwie zrobiłem krok do przedpokoju, ona już jest przy mnie. — Wychodzisz, mój mężu?! — A no, chciałbym się troszeczkę przewietrzyć, moja duszko! — Ach, jak to dobrze, mówi wtedy, zaczekaj momentik, włożę tylko inną bluzkę i pójdziemy się prze-

wietrzyć we dwoje! — Co prawda, przysięgałem niegdyś mojej żonie wierność do zgoną, ale czy tam była mowa o tem, abyśmy się mieli wietrzyć koniecznie we dwoje, tego stanowczo nie pamiętam! Do prawdy, nie rozumiem, dlaczego żona musi być nieprzyjacielem swego rodzzonego męża! Gdy się do pewnego czasu nie żenimy, mają nam wtedy za złe! Powiadają, że jesteśmy egoistami, że żyjemy wzorem pasorzytów, wyciągających z życia wszystkie jego soki, niczem się wzamian nie odwdzięczając, i że nie stwarzamy sobie rodzin, do czego obowiązany jest każdy osobnik płci męskiej, doszedłszy do pewnego wieku. Więc czynimy ustępstwo na rzecz tego barbarzyńskiego zwyczaju i żenimy się. To jest nie wszyscy, ale w każdym razie nasza większa część. Ja także mam honor należeć do tej większej części. Pojęcia nie mam po prostu, jak to się stało, ale ożeniłem się. Przyznacie chyba państwo sami, że jako człowiek żonaty, mam prawo nietylko do współczucia ze strony całej ludzkości, ale i do pewnych przywilejów, do niejakich względów. Bo jakiś ekwiwalent należy mi się za to, com zrobił. Żaden czyn bohaterski nie powinien nigdy zostać bez nagrody, żadna ofiara nie powinna spotykać się z nie wdzięcznością. Tymczasem, przyszedłem do bardzo smutnego wniosku, że mężczyzna, który się żeni, traci tylko na tym interesie! Tak jest, traci! Traci nietylko swobodę, ale traci także na opi-

nii. Panie się uśmiechacie niedowierzająco? Panie chciałybyście może te słowa zaliczyć do nonsensów, paniom się zdaje, że przezemnie przemawia przesadny pesymizm, albo gorycz usposobienia! A jednakże to jest pewnik, że mężczyzna żonaty ma popsutą reputację! Przecież ja co moment prawie doświadczam tego na samym sobie! Niedawno byłem na pewnem zebraniu, zorganizowanym przez moich kolegów biurowych, naturalnie, kawalerów. Było także kilka niewiast, a jedna od drugiej szykowniejsza. Nie pochlebiam sobie, umiałem wpaść najładniejszej blondynce w oko, bo słyszałem, jak powiedziała do drugiej: — Patrz, Maniu, ten z czarnemi wąsikami to wcale niczego brunecik! — Na nieszczęście komplement ten doszedł także do uszu Janka. — Skieruj swoje afekty w inną stronę, powiada do niej ten urwis, bo to jest człowiek żonaty! — Uh, feler! odrzekło z grymasem piękne jasnowłose dziewczę i odwróciło się do mnie plecami! Ogarnęła mnie wściekła pasya. — Czegoż się pani odwraca? powiadam, czyż to nie wszystko jedno: kawaler, czy żonaty? — O, nie, mój panie, odrzekł amorek, ja je z dem z tego gatunku kobiet, które nie lubią żonatych mężczyznów! Na nic się już potem nie zdały wszelkie argumentacje z mej strony, miałem cały wieczór popsuty, bo urocza blondynka wolała flirtować z kawaleryą! Siedziałem sam jeden, opuszczony przez sympatyczne

niewiasty, i mogłem się najwyżej przypatrywać, jak się inni bawia! Podobnego rodzaju afronty spotykają mnie na każdym kroku. W ubiegłym karnawale byłem na paru maskaradach i nie zdarzyło mi się, aby mnie intrygowała choć jedna maska. Wszystkie uciekały odemnie, jak od zapowietrzonego. Ba! Uciekały! Gorzej jeszcze! Jedna podeszła do mnie i powiada głosem piszczącym: — Wstydzilibyś się na maskaradę chodzić, ty, człowiek żonaty! — Inna znowu nazwała mnie wujaszkiem, a kiedy się o to obraził, poradziła, żebym poszedł do domu spać, bo maskarady nie wynaleziono dla ludzi żonaty! Zresztą, co ja tu długo będę państwu opowiadał o bardzo upośledzonym znaczeniu ludzi żonaty w życiu towarzyskiem, skoro państwo sami wiecie dobrze, iż żonaci, w wyobrażeniu kobiet, nie idą w rachubę wogóle. Panie postępują sobie z nami tak, jak gdyby nas wcale nie było i żadna się z nami nie liczy! Więc za te wszystkie upokorzenia, jakich doznaję od świata z powodu, iż jestem żonatym, ciskam tu, na tem miejscu publicznem, głośne słowa przekleństwa na cały ten smutny stan małżeński, rzucam anathemę na wszystkie panny, zastawiające sidła na bezbronnych kawalerów, na wszystkie mamy, które im w najmniejszy sposób do tego dopomagają, rzucam prze... (*Spoogląda w stronę jednej z pań i mówi z zachwytem:*) Ach, co za cudne oczy!... Co za

oczy, co za oczy!... Sieją blask promienny, jak para gwiazd na niebie i chciałoby się utonąć w ich spojrzeniu! (*Zapala się coraz bardziej.*) Pani! pod magnetyczną siłą twych pięknych oczu ja dłużej już panować nad sobą nie mogę! Pozwól więc pani, że na chwilę zbliżę się ku tobie, że przedstawię się i poproszę o chwilę rozmowy. A może pani jest tutaj sama i może niema kto odprowadzić do domu? W takim razie pozwoli pani, że ja będę służył z całą przyjemnością. Mam parasol, a w razie potrzeby może być i dorożka... Proszę tylko rozkazać, a uczynię wszystko, co pani tylko zechce... czuję bowiem, że szał opanowywa mnie coraz goręcej i że za chwilę stanę się niewolnikiem pani nazawsze... (*Po chwili.*) Pani się uśmiecha znacząco, a więc pani się zgadza! O, jaka pani dobra! Pani jesteś aniołem!... Już biegnę... biegnę!... (*Spojrząwszy nagle w najdalszy punkt sali, z przerażeniem:*) Moja żona! Tak jest, nie myłę się!... Przyszła! Trafiła do mnie!... Poznają ją po tej wysmukłej, giętkiej figurze, po kruczonych włosach, zaczesanych po grecku, po tych wielkich strzelistych oczach i po tym małym, zadartym nosku! To ona! (*zwracając się do publiczności:*) No, proszę państwa, czy może być nieszczęśliwszy człowiek odemnie! Jednego kroku sam zrobić nie mogę! Wszędzie ona i ona jak cień, jak przeznaczenie! I co ja mam zrobić z tą kobietą?! (*Po chwili.*) A jednak, ona



mnie musi bardzo kochać, kiedy mnie nigdy z oczu nie spuszcza! (*Fakby podchnytnując*). Co szanowny pan powiedział? Że ja nie jestem wart takiej żony? He? Że ja jestem bałamut, który sieje naokół zgorzzenie, że instytucja małżeńska nie jest stworzona dla takich osobników, jak ja?... (*Zamyśla się pod wpływem refleksyi*). A wie pan dobrodziej co? Może pan ma i rację? Może ja rzeczywiście jestem z natury bałamut, a moja żona wie o tem i dla tego mnie tak pilnuje! W takim razie jest to bardzo nieszczęśliwa kobieta, bo musi nieraz okropnie cierpieć!... Ale ja w gruncie rzeczy jestem niezły człowiek i ja się poprawię... dam panu na to słowo uczciwości... ja nieraz sam czuję, że postępuję haniebnie, lecz niech pan sobie z łaski swojej zapisze dzisiejszą datę, że to po raz ostatni uciekłem z domu bez wiedzy mojej pani i od tej pory zmienię się do niepoznania... (*Głosem w dal*). Idę... idę, moja Anuś kochana, i przyrzekam ci, że od dziś dnia żadnej obcej kobiecie nie powiem ani jednego słówka i że nigdy nie zapomnę o tem, co mąż winien dobrej i kochającej żonie. (*Ochodzi*).

### NA PERONIE KOLEJOWYM.

- Panie, panie, z psem do wagonu nie wolno!
- Kiedy to nie pies tylko suka!
- Leonek, ukłony dla czoczy. Ucałuj wszystkie dzieci.

— Ja to zrobię, tylko ty najpierw idź do doktora, weź na przeczyszczenie, a potem jedź do Karlsbad.

— No, bądź zdrow, mój mężu, tylko, pamiętaj, pisz z drogi.

— A jakże. A ty, proszę cię, nie zdradzaj mnie, bo wiesz, jak ja tego nie lubię.

— Mojsie, ost a biulet? In dy Grodzisk kimt cy gajn a rewizje.

— Szrajnisz, Sure. Of dy gape turt man besser wy mit dy biletu.

— Aron Chaskielowicz, żelaju wam szczęśliwej drogi i półnowo uspiecha. Piszytie odkrytkie, w krajnie słuczaje telegrafirujtie.

— Panie konduktorze, gdzie tu przedział dla niepalących?

— A nie widzi pan? ten, gdzie siedzą te dwie kwoki, jedna krowa i trzy gęsi.

— Bardzo dziękuję, już tam taszczę багаż.

— Panie naczelniku, czy do Aleksandrowa przyjedziemy z opóźnieniem czy bez?

— To zależy.

— Od czego?

— Czy się pociąg wykolei czy nie.

— Aj waj, Gewalt, oj waj mir!

— Czego się kupcowa tak drzesz?

— Jak ja się nie mam drzeć, mój dziadek i moja babka, mój tate i moje mame jechali całe życie na gapę a ja z tej samej rodziny musiałam

sobie w prawdziwe kase kupować prawdziwego biletu!

— Maniu, pamiętaj, a pisz!

— Czy tak mnie kochasz, mój skarbie?

— Nie, ale ogromnie lubię otrzymywać listy z drogi.

— Oj, nie wytrzymam, spóźniłam się na pociąg!

— Nie zawracaj pani. Lokomotywa ruszy dopiero za dziesięć minut.

— No tak, ale ja jeszcze mężowi memu muszę zapowiedzieć jak ma się prowadzić podczas mojej nieobecności.

— Ojej, trzeci dzwonek! Zajmą mi moje miejsce!

— Pamiętaj, pisz!

— Ty też.

— Nie wyrzucaj brudnej koszuli za okno, tylko ją oddaj do prania.

— Marjannie powiedz, że jak cię będzie okradała na koszykowem, to jej po przyjeździe wszystkie pyski spiorę!

— Lutka, masz chustkę do nosa?

— A bo co?

— Bo byś powiewała, jak pociąg ruszy. To je syk.

Gwizd.

— Gotowe!

Furczenie lokomotywy.

~~~~~

MOJA DULCYNEA.

(Fragment z porywów serca).

Poniżej okna mego,
W framudze wężkiej ściany,
Strzeżony ode złego —
Był klejnot mój schowany. .
Nie śmieście się z poety,
Łzy rońcie raczej krwawe,
Że klejnot ten, niestety
Kuchenną miał oprawę!
Bo w kuchni rzecz się działa...
Ach, nie drzyj mi, stalówko!
Mój klejnot — ot, rzecz cała —
Był piękną pokojówką...
Patrzyłem na nią codzień,
Gdym w łucik wsuwał głowę,
Choć kryłem się jak zbrodzień,
Ze względu na obmowę..
Nie uwierzycie może,
Lecz daję na to słowo,
Że drzałem jak niebożę,
Widząc tę główkę płową...
Ach, co za cudne lice
I czar w postaci miała!
Podobna do Eunice —
Powabów pełna cała...
Gazelli miała oczy
I taki smutek w wzroku,



Że byłbym jej ochoczy
Winszował wciąż uroku...
Nie była to, ach — wierście,
Sługa jak wszystkie sługi!
Bo takiej w całym mieście,
Nie znalazłby nikt drugiej!...
Więc w jassyr wzięść się dałem
Przez moją Dulcyneję
I z okna jej sprzyjałem,
Nie bacząc na zawieję.
I pomyślałem sobie,
Rozkoszy czując drzenie:
— A toż hałasu zrobię,
Gdy się tak z nią... ożenię!...
I cóż w tem złego zgoła?...
Więc wnet geniuszów cienie
Me serce czułe woła
Na usprawiedliwienie...
Wszak trudno wziąć za kaczkę
Tych taktów okruszynę,
Że Heine miał — swą szwaczkę,
Rafael — Fornarinę...
Czemuż się wahać zatem?
Gdy los tak chce widocznie!
Mamże być sobie katem,
Nie wierzyć w swą wyrocznię?...
Otwarcie wyznam wreszcie,
(Ach wybac mi to, pani!)
Że te salony w mieście

Stoją mi kością w krtani...
I owe damy strojne,
Co minki robią wiecznie,
I ciotki bogobojne —
(Choć mówić tak — niegrzecznie...)
Zbrzydły mi etykiety
I blichtr błyszczącej nędzy;
Pragnałem dziś na wety
Miłości — bez pieniędzy...
Więc codzienną ukochanej —
Pachnący, choć nieduży,
Do sznurka przywiązany
Bukiecik stałem róży...
Raz ją spotkałem w sieni,
Gdy trzepać szła dywany...
— Niechże się pan odmieni —
Rzekł anioł ubóstwiany...
— Mnie pani wciąż wymyśla,
I to mi *honor* plami,
Bo *peda* moja stara,
Że wdaję się z chłopami!...
Ja jej tłómaczę snadnie,
Że czynię to z miłości,
Że może nam wypadnie
Żyć wspólnie do starości...
A ona mi odpowie:
— Egipskie to gadanie,
Nie zawróć mi pan w głowie,
Bo u *nasz* dzisiaj pranie... —

Zaś kiedy innym razem,
Rzuciłem jej z za szyby:
— Ach, nie bądź dla mnie głazem,
Nie przypominaj ryby! —
To — wyobraźcie sobie:
Zachciało się tej damie,
(Tu zapał mój już w grobie),
Bym z nią... flirtował w bramie!
I tak zrywała oto
Tę nić mych słodkich marzeń,
Ciskała serce w błoto
Wśród życia tego zdarzeń...
A kiedy ja chęć miałem
Wprowadzić ją do raju,
Ona — uczuciem śmiałem —
Kochała się w lokaju...
Czuła z nich była parka,
Zbratani byli z sienią:
Mówiła mi kucharka,
Że pewnie się „pożenią...“
Nie miałem już oazy
Na stepie mego życia,
Nabrałem też odrazy
Do jadła i do picia!
I kłąłem ten mój zapał
Do „niższych sfer ludności,“
Bo raz mnie lokaj złapał
I obić chciał mi kości..
Coż warta zatem praca

„U podstaw“, onych progę,
Gdy za nią taka płaca —
O, powiedz „socyologu?!...“

SCENKA W TRAMWAJU.

— Panie konduktorze, niech pan tego złodzieja każe aresztować! On mi chciał wyjąć szpilkę z krawata!

— Co, ja złodziej?! Żeby pan całe życie takie zdrowie miał, jak ja kiedy w życiu muche zabiłem! Mój ojciec ma dom na Smocze a ja jestem pasmanternik! Złodziej! Może pan kiedy komu co ukradł, to pan wie, co to złodziej jest! Ja pana wsadzę do kryminału za ublżenie honorowe ludzi! Panie konduktor, pan nie potrzebujesz wstrzymywać tramwaju, ja sam wyskoczę!

— Maniu, siadaj na miejscu za 7 kop., i patrz się przez okno, to wszyscy pomyślą, że jesteś za-
można panna i masz posag!

— Dobrze, mamó, już siedzę!

— Panie konduktorze, czy przy Pięknej staje?

— Nie staje!

— Ładny mi tramwaj! Napiszę zażalenie do zarządu.

-- Oj, panie, mój odcisk! Nie możesz to pan nóg trzymać przy sobie?

— Owa, jaka mi arystokratka! Jak pani nie-
ma życzenia być deptana po odciskach, to jedź

se pani własnym samochodem albo nie, to zasta-
wiał odciski w lombardzie!

— Proszę państwa, nie trza się pchać.
Najpierw publika wychodzi a potem wchodzi.

— Patrzcie, jaki mi naczelnik! Nędzny kon-
duktor i będzie mi tu dyregował! Żebyś wiedział,
kto ja jestem, tobyś stulił pysk i ruki poszwam!
Jadziu, nie zważaj na nic i pchaj się za mną!

— Przepraszam, niema miejsca, proszę nie
wsiadać!

— Co — niema miejsca, dla kogo niema
miejsca? Ja jestem znajomy pana Spokornego, to
dla mnie musi być miejsce, bo inaczej piszę słów-
ko do dyrekeyi, i już pan wylecisz!

— Oj, pani mi wykuła oko szpilką od ka-
pelusza!

— Pan się nie potrzebujesz zmartwić od
jednego głupie oko. Mój mąż jest optyk, to on
panu wsadzi drugie, jeszcze lepsze.

— Bardzo pana przepraszam. Czy ten tram-
waj idzie na Nalewkach?

— Mówi się na Nalewki, moja pani. Tak,
on idzie na Nalewki.

— Bardzo pana dziękuję.

— A gdzie pani właściwie mieszka?

— Na Nalewki, proszę pana.

— Nie mówi się na Nalewki, tylko mówi
się „na Nalewkach“, moja pani.

— Niech pana ciężkie cholere zatłucze. Jak
ja mówię „na Nalewki“ — to pan mówi „na Na-
lewkach“, a jak ja mówię „na Nalewkach“ — to
pan mówi „na Nalewki“.

ŚWIETNA PARTYA.

Przebranie starej żydówki, swatającej partye małżeń-
skie; rozgląda się po całej sali, uśmiecha się jak faktor,
mający do zrobienia interes.

Aj jaj, jakie tu ślicny panowie jest, jak hra-
biowskie dzecko, a za *jur of mir*. No może pa-
nowie potrzebują jaki ładny kawałek żony, to ja
mam, zaraz przyniesę, una tu jest, stoi za drzwia-
mi.. (po chwili do jednego ze słuchaczy na sali):
A łaskawe pan sobie nie chce ożenicz?.. Jest ład-
ne kobite, jest, na moje szczęście... Łaskawy pan
sze pita, ile una ma posag?... Ja wielmożnego pana
powiem tylko jedno hrabiowskie słowo: moje wnu-
ki coby taki posag mieli, jak una ma, to ja sobie
ziczę! Pan wi, czyje una córke jest?... Una ma
dwa ojcy, to jeden już nie żyje, może trzy mie-
szoncy, a drugi to jeszcze nie umarął. Ten tam-
tejszy ojciec, to był syn reb Chaskiel Glas, to bu-
ło znane osobe i sze nazywał Mojsze Irok Aw-
rum. Jak un sze ożenił, to był ogromnie przistoj-
ne człowiek, a jak on umarął, to było takie pł-
kanie, co wsistkie musiali z chustkiem i fartuchem
obcirać sobie twarzów. Un sobie chodził w długie

kapote, *ot gegangen in a lange kapote* i sze wsistko blyszczycło od niemu jak od lampe, *in ot ałs geszmekt in gebrent*, proszę państwa... Ale un już umarli jest przez tego, co un miał takie paskudne chorobe, co sze nazywa raku... tfl... (*spluna*). Un nigdy raku nie jadł, przecież on buł nabożne człowiek, *ot gewezn a frime id...* (*Po chwili*). Te panienke, co ja powiadam, to una już by sze chciała ożenicz przez tego, co una już buła pare kilka razy zaręczone, ale sze te partye rozpieła... Una by już mogła miecz szedem dzieci, może więcej, ale nie chciała — to nie!... *Ot niszt gewollt, łos zycn ofn kojsz!*... Una może miała ze sto szwietne partye do zrobienia a wsistko to sze jej nie spodobało... Buł jeden młody człowiek z bardzo porządne rodzyne, może miał trzydzieszczy lat, to sze chciał z nią ożenicz... Un buł bardzo przystojne, *ot gewezn szajn mencz*, i miał tylko jedne małe wade, co buł z dwa strone garbate, ale to z daleka to prawie nie buło widacz... A tak, to buł bardzo prosty człowiek, tylko jak buł małe dzecko, może miał pięcz lat, to sze spuszczył od te poręcze na schody i zleczal do piwnice, to sobie wybiuł tylko jedne okie i połamiuł nogie, ale to już zupełnie nie buło widacz, przez tego co un na okie to noszył czarne okulary a noge to miał z dębowe drzewo, to sze bardzo dobrze trzymało, i un buł taki prosty, co mógł szmiało tancowacz na każde sale. No, jak una jemu zoba-

czyła, to una najpierw sze troszeczkie skrzywiuła, a potem to una powiedziała, co un sze jej nie spodobał!... Żebym takie rok miała, *a za juer zotech huben*, co ten młode człowiek to sze na przyszły rok zaraz w te chwile ożenił z inne panienkie i jest takie szczęśliwe, co nima na kuli žemski! To ja jej dżyszaj powiedziałam!... Ja miałam dla niej drugie, jeszcze lepsze partie, to una sze tyż rozpieła. Ten młody człowiek to buł bardzo znane osobe, pan jemu musi znac, un jest urzennik od lombardu na Pańskie ulice... Un tam wsistko jest!... Un pisze na papier i na szczane, przyjmuje różny fanty i gada i krzyczy i jak sze zrobi w te lombarde jaki awanture, to un zara jest w szrodek i robi odrazu sza! Un jest bardzo mądry i delikatny człowiek, tylko ja państwa powiem: un ma jedne małe przizwyczajenie, co wsistko zara taksuje... Jak ja jemu powiedziałem od te panienkie, co ja mam, to un mnie bardzo ładnie przyjął, kazał postojacz i sze zaraz zapitał, czy ja mam jaki stary rzecz na zastawienie... Ja jemu powiedziałem co nie, to un sze mnie spitał, czego ja sobie żiczę. Czego ja sobie żiczę?... Ja sobie żiczę coby z te ładne panienkie sze robią partye, ja jemu powiedziałam, to un sze mnie posłuchał, tylko tymczasem powiedział, coby ja sobie poszła, przez tego, co un potrzebuje zrobić tam jakieś taksacye na stare garderobe a un już tam przyjdzie. Gdzie un przyjdzie, niech sze pan spita?

Przyjdzie do cukiernie, *et kimen in a konditorai*, gdzie uni sze wsistkie spotkają: te matkie i ten ojciec od te panienkie, pare szostry, dwa babki, jeden żadek i jeszcze insze famelje i ten młody człowiek, ten użennik, tyż ze swoje rodzyne. Uni obstalowali jednego pokoju w te cukiernie osobno, ja tyż tam bułam i uni tam szedźali może dwa godziny. Nic nie pili, nic nie jedli, tylko te panienkie, co szedźała czągle w gorsetu i sze nie mogła rozpinacz, to sze zrobiało troche mdłoszczy, to una sze napiła jedne szklanke arbaty, to wistarczyło na trzy osoby. Ten młody człowiek to wcale na te panne nie patrzył, przez tego co un miał insze rzeczy na głowe, a te całe rodzyne to szedźali i nic nie mówili... Potem to jemu zaproszyli do domu od matki te panienki i jak un tam przisedł, to włożył na wszistkie pokoje coby sze zaraz przekonacz na taksacye od te wsistkie rzeczy, ile można dacz w lombardu na zastawienie. To jemu sze tam nie nie spodobało; un powiedział co te wsistkie rzeczy to są stary grat i to nic nie jest wart i powiedział jeszcze, co szkoda jest kwitu napisacz. Potem to un szedźał może jeszcze trzy godziny i sze zaraz ubrał i poszedł do domu i sze partye rozpięła... (*po chwili*). Te panienkie, to jest bardzo przystojne i una ma dużo pieniędzy, *ot sach geld*, to ja sze pana zapitam, czy pan nie potrzebuje taki żony?... Pan będzie od niej kontentny, ja pana mówię, żeby moje wnuki takie

zdrowie mieli, jakie une gospodyni jest. (*Po chwili do jednego ze słuchaczy*). Prosie wielmożnego pana, ja mieszkam na Nowe-Karmelickie, szedem-dzesząt dwa, *cwei in zybecig*, to pan mi da znacz, jak będzie z te partye chciał zrobicz interes?... Ja będę czekacz, do wydzenia od pana.. (*wychodzi*).



WIESZ CO, MIAŁEM KOMORNIKA...

— Wiesz co?... Miałem komornika,
Zajął mi meble i stoły...
No, a z tego, wiesz, wynika,
Że jestem, jak hołysz, goły..
— Cóż uczyniłeś na razie,
Gdyś dostał taką wizytę?... —
— Wziąłem żonę, Stasia, Kazię,
Poszliśmy na zrazy bite.
A że jak wiesz, na trasunek
I inne dolegliwości
Nieraz dobrym bywa trunek...
— Więc pomimo całej złości,
Poszła koniaku butelka?...
— Tak, tak, chciałem ci rzec właśnie;
Jedna szampana niewielka,
A wreszcie: niech piorun trzaśnie,
Myślę sobie, mocium panie,
Meble razem z komornikiem!
Zjadłem na ostatnie danie

Homary, panie tego, z szykiem!
Potem wpadłem na komedię,
Uśmiełem się do łez prawie... —
— Gdziesz spać będziesz, stoisz ledwie?...
— Gdzie spać będę? No... na trawie...

~~~~~  
**MONOLOG MOJEJ ŻONY.**

Wchodzi na estradę bardzo skłopotany; rozgląda się po całej sali, jakby nie wiedział od czego ma zacząć; mówi:

Bardzo mi przykro, ale muszę szanownych słuchaczy narazić dziś na mały zawód... Otóż... (*wahając się*) nie będę mówił monologu... A raczej powtórzę tu tylko monolog mojej żony... wszakże jej tu niema... (*wstrząsając się na wspomnienie*) brr!... jeszcze mi dotąd w uszach dzwoni!... (*zwraca się do panów*) Panowie, niema nic okropniejszego, nad to, kiedy... własna żona zaczyna monologować!... Nic się nie znają na subtelnościach, a wszystko idzie zaraz u nich *furioso* i z tą piekielną siłą, jakiejby się Franciszek Moor nie powstydział!... A co gorsza, że tu sykanie panu nie pomoże, przeciwnie, potęgujesz pan brawurę, zaostrasz pan apetyt do monologowania, aż wreszcie — stajesz się pan najniegrzeczniejszym słuchaczem — i opuszczasz audytorium wśród potoku ognistej lawy słów, która przebija szyby i dosięga cię nie raz na podwórzu lub ulicy... (*P. chw.*) Mój Boże, że tym żonom nigdy głosu nie zbraknie!... I co za dar do monologowania!... O każdej porze dnia

i nocy i na wszelki temat!... Smutnem jest to tylko bardzo, że na słuchaczy wybierają sobie zawsze — mężów!... Żono! błagam nieraz, dokończysz jutro, daj pokój, jesteś zmęczona; odpocznij trochę!... perswaduję, ale co! groch na ścianę, proszę pana!... wiedz pan o tem: kiedy żona zacznie monologować, to już nikt nie pomoże!... Albo taki przykład wypadek... Jesteśmy u wód zagranicą... Bawimy się doskonale, wody nam służą, moja żona traci nieco na wielomówności, jednym słowem, żyć, nie umierać!... Aż tu nieszczęście chce, zapoznaliśmy się z jakąś chudą Angielką, która przyjechała do wód sama jedna, chcąc użyć kąpieli, ponudzić się i odjechać!... Mam wrodzony wstręt do Angielek, zwłaszcza jeżeli są rude, ale że moja baba zasmakowała w tym patyku — ha, więc towarzyszyłem jej tu i ówdzie. Żonie mojej, dzięki Bogu, na tuszy nie zbywa, więc często zostawała w domu, nie mogąc stałe towarzyszyć Angielce w jej wycieczkach, cały więc ciężar zabawiania czerwonej damy spadał zwykle na mnie! Przyjmołem jednak wszystko z potulnością istoty, której kiwnięto palcem i powiedziano: ani mru-mru!... Naraz Angielce zachciewa się jakiejś dalszej wycieczki w okolicę, w góry jakieś, szczyty, do ciekawych okazów, jednym słowem. — Jedziesz pan ze mną?... — zapytała krótko. — Do usług — odpowiedziałem jeszcze krócej, i nazajutrz w południe, nie meldując nawet żonie, dokąd i jak jadę,



puszczam się w towarzystwie ekscentrycznej Angielki starą landarą... Wypadek chce, że zbliżając się ku wyśnionym góróm, stara bryka rozpoławia się do niczego a na dobitkę nieszczęścia, deszcz z piorunami i grzmotami moczy nas do nitki!... Szczęściem jednak w bliskości znajdowała się oberża, mogąca w tej przykłej sytuacji udzielić nam gościnności, ale ten błysk słońca gaśnie wnet wobec fantazy Angielki, której ni stąd ni zowąd zdaje się, że byłaby skompromitowaną, gdyby z obcym mężczyzną weszła do oberży! — Ha, to nocuj pani sobie pod gołem niebem, a ja pójdę na szklaneczkę porteru! — Podziwiam pańską uprzejmość dla dam!... — Więc cóż, na Boga, mogę uczynić dla pani?... — Dotrzymać jeden mały warunek! — A mianowicie?... — Wejdę z panem do oberży, jeżeli mnie pan nazwiesz żoną i pozwolisz, że ci powiem: mężu!... — Wiedziałem zawsze, że Angielki mają dowcip, ale to w istocie — było dobrze pomyślane. — Ależ świetnie! — zawołałem uradowany, że będę mógł nareszcie osuszyć się trochę... służyć pani!... — W karczmie zastaliśmy jakąś czułą parę, która gruchała tak swobodnie, że moją biedną Angielkę ostatnia pasya brała!... Trzeba było ostatecznie umówić się z oberżystą o jakiś wehikuł, boć niepodobna tu było siedzieć całą noc!... Ale sprytny szwab, przeczuwając świeży zarobek i nie chcąc pozbywać się gości, odrzekł krótko i stanowczo, że na razie za-

dnego powozu niema, lecz nazajutrz z samego rana służyć może!... Tymczasem — paplał stary wyga — mogę przygotować dla państwa pokoik, są dwa łóżka doskonałe, świeżutka pościel, będziecie państwo spali, jak w raj!... A co?... Ładna wycieczka!... Bałem się, żeby Angielka, słysząc to, nie wyzionęła ducha, więc ją uspokajałem; żono, żonusi, nie martw się, to się da jeszcze wszystko zrobić!... — Panie, nie nazywaj mnie pan swoją żoną, nienawidzę pana!... — Masz tobie! Ona mnie nienawidzi... Za co, pytam?... Udam się z pokorną prośbą do oberżysty i mówię mu, że jesteśmy spragnieni wygody, więc — czyby nie odstąpił nam dwóch oddzielnych numerów?... Lecz gdzie tam! Miał wszystkiego dwie izdebki, z których jedna była już zamówioną przez ową czułą parę, tak mile gruchającą z sobą... Ha, co miałem robić! Ani ja, ani nieszczęsna Angielka, nie znajdowaliśmy sposobu ocalenia!... — Dobrze więc, niech i tak będzie, ale uprzedzam pana, że nie udam się wpraw na spoczynek, aż cała karczma będzie w śnie pograżoną! Pan wtedy opuścisz mój pokój i udasz się na kurytarz, gdzie całą noc możesz spokojnie przebyć!... — Jakto, gdzie, na czem?... — Na krześle!... — Przyjemne posłanie!... Lecz byłem już tak zrezygnowany, że gotów byłem położyć się nawet pod rynnę, byle tylko zdala od Angielki!... Lecz co powie moja żona nie widząc mnie w ciągu dnia

i nocy?... Oj, będzie monolog, myślę sobie, ale tym razem, chyba dłuższy, niż zwykle!.. O północy cała oberża pogrążona już była w zupełnej ciemności, ja zaś w rozpaczy, wyrzucony bowiem przez Angielkę z ciepłego kąta, zająłem opłakane stanowisko na kulawym stolku w wilgotnym i ponurym kurytarzu... W kwadrans później usłyszałem na dole w karczmie szmer jakiś... (*głosem przyciszonym*). Najpierw turkot kół, potem dobieganie się do oberży... Jakiś głos kobiety... (*z przerażeniem*). Nieba, to moja żona!.. Czego ona tu chce!... (*rozpaczliwie*). A, już wiem!.. ona mnie szuka!.. Zaczyna dusza, była niespokojną o mnie!.. Po chwili moje domysły potwierdził jej głos ostry i dobitny! — Panie oberżysto, czy nie zatrzymał się u pana mężczyzna w średnim wieku, trochę łyśy, z czarną brodawką na prawym policzku?... — Owszem, łaskawa pani, był tu taki pan, a nawet jest jeszcze!.. — A, jest!.. Więc przeczucie nie omyliło mnie, że go tu znajdę!.. Powiedz mi pan natychmiast, gdzie on jest?... — Jest na górze z żoną. — Z jaką żoną, co za żoną!.. Zaprowadź mnie pan koniecznie do niego, ja go muszę zobaczyć! — O, to będzie trudno, proszę pani, teraz już musi chyba spać!.. — Co pan mówi!.. Czyś pan oszalał?... O ja nieszczęsna!.. (*Opowiadając*). Usłyszałem spazmy, widziałem z odległości kilkudziesięciu kroków, jak oberżysta cucił moją żonę zimną wodą, a drżałem, jak w najstraszniejszej

febrze atrykańskiej... (*Pauza*). Epilogiem tej przygody był monolog mojej żony, o którym ze względu na spóźnioną porę (*spogląda na zegarek*) opowiem szanownym słuchaczom innym razem. *Odchodzi.*

### LIST DO MOJEJ NARZECZONEJ.

O, pani! Nie sądź — w pustocie,  
Iż w zwycięstw moich omłocie  
Chcę ziarno — dla swej oskomy  
Wymłócić z ciebie jak — z słomy!  
Co mówię — to prawda szczerą,  
Bo we mnie — wciąż morze wzbiera  
Miłosnych uczuć i szału,  
Świętego dla cię zapachu!  
To nie fantazja, ni chwila  
Przelotnych pragnień motyla,  
Co siada z kwiatka na kwiatek  
I słodycz spija — gagatek!..  
W mem sercu żar — niby w piekle,  
Bo kocham panią, ach — wściekle!  
I stwierdzić jestem gotowy  
Wszechmiłosnemi to słowy...  
Ach, kocham! To takie jasne!  
Ba! więcej, niż życie własne,  
Niż siebie samego więcej  
I nawet — jeszcze goręcej.  
Ach, kocham twe modre oczy  
I sploty jasnych warkoczy,

I kocham usta różane  
Te piękne, niemalowane...  
I kocham, luba stokrotko,  
Twą kibić smukłą, a wiotką  
I marmur twojego czoła  
Z śliczną „secesyą“ dokoła...  
I kocham rączkę twą białą  
I nóżkę zgrabną, a małą.  
I kocham nawet sukienkę,  
Co zdobi moją panienkę...  
I gotów jestem dla ciebie  
Jak syn Chaosu — w Erebie,  
Za nocy ukryć się cienie,  
Gdy takie będzie zachcenie...  
I gotów jestem wód fale  
Pruć, by dla ciebie korale  
Jak nurek, dobyć z mórz toni  
I złożyć ci z mojej dłoni;  
By ci z brylantów dać gwiazdy,  
Nie waham się nawet jazdy  
Do kraju, gdzie bestye dzikie  
Zimują — strach! — do Klondyke!  
I zgoła dla mnie rzecz blaha  
Do kraju pójść Padyszacha,  
By w zamian za twoje serce  
Pod stopy ślać ci kobierce  
Jedwabiem tkane i złotem!  
I fraszka dla mnie, by potem  
Do Lyonu wpaść po aksamit,

By z pod egipskich piramid  
Z górnego Nilu koniecznie!  
(W dowód, że kocham serdecznie,  
Że cię ubóstwiam do tyła!)  
Sprowadzić ci krokodyla...  
I pójde do Kaszemiru,  
Wyrwawszy się z wahań wiru  
I ztamtąd przywiozę szale,  
Byś miała luba na bale.  
A stroje kupię w Paryżu —  
Gdzie z owsa nie robią ryżu —  
By przyjaciółki w zazdrości  
Dostały spazmów ze złości...  
A później będę — z twej woli —  
Wiózł cię w weneckiej gondoli,  
Gdzie tęskne — ach! romanzera!  
Usłyszysz z ust gondoliera...  
A potem... serce... ach, potem  
Walić nam będzie jak młotem,  
Gdy spoczniem w treje na Lido:  
Ty — Psyche, ja — i Kupido...  
I tak — rozkoszy nie syci,  
Będziemy jak sabaryci  
Używać życia do woli —  
Jak długo Bozia pozwoli...  
Lecz nim to wszystko uczynię,  
Spytaj się papy jedynie,  
Czy ma dla ciebie w anszlugu:  
Ze trzy miljony... posagu?...

### SYMCHA KELNER.

I w naszym małym miasteczku Korzenicy to jest trzy zajazdy z restauracje. Jeden ma Szmul Agitid, to un jest wcale nieporządne hotelu; a te pokoje dla gości to stoją w piwnice i jest wilgoci to sze leje z wodą na szczanie i na suficie... W ten drugi hotel to mieszkają sami żydki; un sze nazywa Europejskie hotelu i kosztuje pięć kopiejki za nocowanie od każdej nocy na suche podłogi. Nasze hotelu to jest naporządny od całego Korzenicy i tam to przyjadą hrabiów od całego szwiatu...

Kto tam już nie był... W ten hotelu to ja jestem cały macher. Jak sze tylko w nasze miasteczko pokaże jakiego gościa, to ja zaraz wyłecze na środek od miasta i łapie jemu za potę i czągnę do naszego hotelowi... To wszystkim gości zaraz idą... Niedawno, może szedłem dni, to przyjechał do naszy miasteczka jeden pan, to sze wszystkim zlenknuli... Pan myśli, co un przyjechał na począgę od kole żelazne albo od furmanki?... nie!... Un przyjechał na takie dwa koła od gumy i lecał na te koła jak warjat... jakby sze paliło... Jak un zobaczył naszego hotelu, to un skiknął, a te koła to trzymał w rękę, przez tego, co sze bojał, coby nie uczecknęło. On był ubrany w takie białe okrągłe czapki, spodnie to wcale nie noszył, tylko takie długie czarne skarpetki, to uny byli trochę podarte, przez tego co jemu za przeprosze-

niem państwa to było trochę widacz... kolanul Un sze obkurzył, obczyszczyl, *in ot gesugt*: picz! Un powiedział: picz!... Jak un krzyknął picz, to ja widziałem, co un jest człowiek, to ja do niemu doleczalem i powiedziałem:

— Co wielmożny pan życzy sobie picz?...

W nasze hotelu jest wszystkim...

— Daj mi szklaneczkę wino... — *ot gesugt*.

— Wino?... Za przeproszeniem wielmożny pana, w nasze hotele jest wszystkim, ale wino to nima...

— No, to daj, żydzie, piwa... —

— Żydzie!... *ot gesugt* żydzie!... Nu, ja sobie pomyślałem, to un jest od naszy szlachty, od naszy wielki panowie... Za przeproszeniem jasny wielmożnego pana hrabiego—powiedziałem jemu—u nas pywo jest, ale tylko owszane... Za trzy dni albo za pięć dni to z pewnością będzie bawarskie, tylko sze zrobi...

— Niech cze piorun trzaśnie! daj jakie jest!— Ja jemu zaprosyłem do hotelu, to un zjadł kolacy i wybrał sobie naładniejszy numeru w całego zajazdu... Potem, to un sze położył na czysty poszczeli spacz, ale nie mógł na żadnego sposobu usnąć, to un mnie zawołał:

— Słuchaj no, żydzie, powiedział, czy na te łóżkie i na te poduszki spał-ko?...

— Nikt, prosze jasne pana hrabiego, tylko tu byli dwa urzędnicy od sanitarne komisye, to

uni sze troche zdrzemnuli... Ale sze zaraz obudzili...

— A więcej nikt?..

— Ani żywy człowiek... Tylko wczoraj, to mnie sze ogromnie spacz zachciało, to ja sze tylko na dwa godziny położyłem na te łóżko, ale sze wcale nie rozbierałem, jak szanuje jasne pan hrabia...

Jak ja jemu to powiedziałem, to un nic nie mówił, tylko rzucił mnie lampe do głowe, usadł na te swoje dwa gumowe koła, nie zapłacił ani jedne kopiejkie i pojechał...

Inne goszczy to mi dają na piwo, a on mi powiedział, jak już szedł na te swoje furmankie:

— Złam rękie i nogie...

Za co ja mam złamnąć rękie i nogie, za te nowy poszczieli, co leżało pięcz tygodni?... No, niech pan powi, czy jest sprawiedliwoszczci na ten szwiat?...

~~~~~

PECHOWIEC.

Przed niedawnym bardzo czasem wrzało w mieście niby w ulu... I mówiono o tem głośno: w sali, klubie, w westibulu, iż pan Moryc, co na miarę Fidyaszową był stworzony, pocichutku — w celach sprośnych—do Ludwiczka dreptał żony...

Oburzeni tym postępkem byli wszyscy ludzie zacni (bo potępiać, niż nie zgrzeszyć bywa

przecież zawsze łacniej), lecz najbardziej się gorzzyła zdradzonego familija, a więc, ciotka pani Tekla, wuj Izydor i stryj Szyja...

— Ach, ten Moryc! — każdy mówi — to jest galgan czystej wody! ty go musisz zabić, Ludwiś, by nie było więcej szkody!

Więc pan Ludwiś, niby Achill, wściekły, wrzący i zażarty, do Moryca rzeknie ostro:

— Kiedyś taki dyabła warty, to wiedz o tem, ty zbrodniarzu, iż tu niema żadnych drwinek, bo ja ciebie dziś wyzywam na zabójczy pojedynek!

Zadrzał piękny uwodziciel... Pot mu obie zrosił skronie... Nie wie sam co odpowiedzieć, i w posępnych myślach tonie... Wreszcie rzeczce po refleksyi:

— Panie Ludwik, pan się dowiedz, że jak tylko żyć zacząłem, to ja byłem wciąż pechowiec. Więc ja panu odpowiadam, iż się wcale bić nie mogę, bo na pewno pan mnie kulą trafi w rękie albo w nogę! Z pechem bić się ani sposób! Nawet wcale niewypada! Co ja mogę na to zrobić, iż mam pecha?! Trudna rada!

Więc w rozpaczy jest pan Ludwiś, że wróg jego będzie cały; że mu nawet jeszcze może sprawić z żoną głupie wały!

Gdy tak tonie w swojej biedzie, Moryc rzeczce doń w te słowy:

— No, ja pana chcę przekonać, że jest człowiek honorowy! Więc jeżeli pan koniecznie chce

się pozbyć mnie bez kpiniek, to zróbmy amerykański między sobą pojedynek! Pan wiesz o tem, że mam pecha, więc powiadam panu na pe, iż ja właśnie z kapelusza czarną gałkę chwycę w łapę!

Mąż zdradzony się namyśla: co tu zrobić z takim fantem? zgodzić się na pojedynek, czy też puścić chryję kantem?... Wreszcie rzecze:

— Niech się stanie! Choć to pan, a nie ja zdradzam, bądź pan trupem lub ja trupem -- i na wszystko już się zgadzam.

Dictum — factum...

Do cylindra wpadły gałki: biała, czarna...

Albo temu, lub tamtemu — dola straszna, dola marna....

Ciągną obaj jednocześnie...

Drży pan Ludwiś, że aż sapie... i po chwili u Moryca... czarną gałkę widzi w łapie!

Ze wzruszenia omdlał prawie! Oczy mu stały słupem... Wreszcie zawył z tej uciechy:

— To pan, nie ja -- będziesz trupem...

Cóż mam zrobić! — rzekł Don-Juan — gdy mam zginąć, to niech zginę! Lecz przed śmiercią proszę pana: odpuść mi pan moją winę!

Rozczulony tem pan Ludwiś zaczął płakać niby dziecko i przebaczył Morycowi, co go szafił tak zdradziecko!

— Jabym ci nie podarował! — rzekł — bo ból mnie w sercu wierci, lecz zapomnieć o tem muszę wobec blizkiej twojej śmierci!

Więc stało ostatecznie (w myśl pojedynku osnowy), iż pan Moryc za godzinę strzeli sobie do swej głowy...

Rozstali się wreszcie potem, i Ludwiś wrócił do domu, o strasznym tym pojedynku nie mówiąc słówka nikomu...

Nazajutrz, gdy się obudził, drząc cały, chwycił *Kurjera*... nerwowo szuka „w wypadkach“ i dech mu w piersiach zamiera...

Lecz cóż to?

Niema ni słówka o samobójstwie Moryca!

To niepodobna! Czyż Moryc zagaś bez echa, jak świeca?

— Ha! może zranił się tylko i teraz gdzieś dogorywa? W każdym razie — myśli Ludwiś — dola jego nieszczęśliwa!

Zatrząś się przytem w tej zgrozie, myśląc o śmierci ohydnie i wyszedł na miasto... Aż naraz...

Widzi — że Moryc idzie...

Idzie sobie najspokojniej z zwykłą fanfara i ręce trzyma w kieszeniach, a w zębach — wielkie cygaro!

— Moryc! — dopada pan Ludwiś — ty żyjesz?! Jak to być może?! Ty miałeś przecież pasakudnym trupem być o tej porze?

— No tak, ja w głowę strzelałem, lecz żadna z tego pociecha, bo całkiem trafić nie mogłem przez mego wielkiego pecha!

~~~~~

## RÓŻA I MOTYL.

Kwitnęła róża  
 Biała w ogródku,  
 Nie miała troski,  
 Rosła bez smutku...  
 Obcem jej było  
 Żalów westchnienie,  
 Słonko jej słało  
 W usta promienie...  
 Zmierzchem ją znowu  
 Rosa perliła,  
 I oto — czem się  
 Róża żywiła...  
 Naraz do sadu  
 Wpada motylek,  
 By spędzić kilka  
 Przyjemnych chwilek!  
 Lilijkę musnął,  
 O bez zahaczył,  
 Aż wreszcie różę  
 Białą zobaczył...  
 Więc do różyczki  
 Wdzięczy się słodko:  
 — Moja ty luba!  
 Moja stokrotko!  
 Tyś mi na ziemi  
 Jedną, jedyną!  
 (Zupełnie niby

Chłopiec—z dziewczyn-  
 [ną!]  
 — Chcę cię całować,  
 Różo bez końca,  
 Bo pieśzczoł twoich  
 Pragnę jak słońca!  
 Bo ja cię kocham,  
 Kocham — do śmierci!  
 Patrz! Serce moje  
 Rwie się na ćwierci!...  
 Róża motyla  
 Słucha ciekawie,  
 Bo róża rada  
 Takiej zabawie...  
 I wreszcie mówi,  
 Choć pąsem płonie:  
 — Ach, jeśli kochasz...  
 Całuj, nie bronie!...  
 Motyl — niecnota  
 Na to polował,  
 Więc też całował  
 Różę, całował...  
 A gdy już wyszał  
 Różyczki lice,  
 Wnet za dziesiątą  
 Czmychnął granicę...

## NIEWZRUSZONA.

Dyalog estradowy.

Ona wbiega na estradę — zadąsana.

— Zobaczycie, że za chwilę znów tu będzie!  
 Gdzie się ruszę, gdzie krok zrobię — mam go  
 [wszędzie...]

Bal czy koncert, teatr, spacer czy wesele —  
 Ciągłe przy mnie!... O, mój panie, już za wiele  
 Mi dokuczasz!... Już na prawdę to mnie złości!  
 Dziś więc właśnie wobec świetnej publiczności  
 Pójdiesz sobie z kwitkiem, panie... No a później —  
 Płacz, narzekaj, módl się albo sobie bluźnij,  
 To mi będzie wszystko jedno... (po chw.) Już nad-  
 [chodzi,  
 Patrzcie państwo... tak podkrada się jak złodziej...  
 (On wbiega zadyszany).

— Panno Różo, panno Różo! Mama prosi  
 Do salonu...

— Panna Róża już nie znosi  
 Dłużej takich, co ją nudzą bez litości,  
 Więc uciekła i z salonu i od gości...  
 — O, mój Boże, nudzą panią? I ktoż taki?  
 — Niewiniątko... (n. s.) Tacy wszyscy — te chło-  
 [paki...  
 — Seryo nie wiem, panno Różo... — I ja także.  
 — Tedy razem wiemy dużo... proszę wszakże  
 Wytlómaczyć mi zagadkę tych słów pani...

— Tra la la la! Wytłómaczyć!... Może w dani  
Przynieść panu wszystkie moje tajne sprawy?  
Jeszcze czego?!...

— Jestem wcale nie ciekawy...

— Ale nudziarz obrzydliwy!

— Jak dla kogo..!

— Dla mnie, dla mnie!

— Pani bywa nazbyt srogą.

— Kto zasłuży...

— Ja bo zawsze coś oberwę!

— Całkiem słusznie... (n. s.) Dziś już chyba wszyst-  
Panie Janie!... [ko zerwę...

— Słucham panią.

— Bardzo wierzę...

Już mnie dawno spytać pana chętką bierze,  
Czemu pan mnie prześladowuje?...

— To z miłości!

— Wciąż to stare!

— Tylko w sklepach są nowości...

(*dekluuje z patosem.*)

*W mojem sercu, biednem sercu, mimo losów*

[*złych zawilość,*

*Tylko jedno tkwi uczucie, tylko jedna płynie*

[*miłość!...*

— Są zdolności na poetę... lecz na męża!...

— Panno Rózo, to — co mówisz, to syk węża!...  
Miejże litość!

— Nigdy pana nie polubię...

Słyszysz: nigdy!...

— To okaże się po ślubie...  
— Co, mój panie? Z każdym chyba lecz nie  
[z panem!

Nie chce zostać jego „bóstwem ukochanem“,  
Jak mnie ciągle pan nazywa...

— I dlaczego...

Panno Rózo?

— Bo ja kocham, lecz... innego...

— Co, innego?! Powtórz jeszcze raz jedyny  
A zakończę żywot marny — z pani winy. (*po chw.*)  
Wiem, co zrobię! Mam tu właśnie broń straszliwą.  
(*Wydobywa z kieszeni rewolwer.*)

Niechaj śmierć zawdzięcza pani swoje żniwo!  
Jedna chwila — będzie koniec!...

— Panie Janie!

O, mój Boże, on coś złego zrobić w stanie!...  
(*Dopada do niego.*)

Panie Janie... nie czyn tego... ja skłamałam...  
Ja... prócz pana... ja.. nikogo nie kochałam...  
— Mocny Boże!...

Co ja słyszę, moja złota?

Więc ta niechęć?...

— Była sobie taka psota...

(*Z udanym gniewem.*)

— A, niedobra! A, panienko — to niegrzecznie...

— Lecz już teraz kochać pana będę wiecznie!

— A... ślub kiedyż?

— Chodźmy o to spytać mamy...

— Doskonale... lecz się teraz uściskamy...



— Później, później, wpierv pan schowaj broń  
zdradziecka!...

(Z komicznym patosem).

— Ta broń straszna... z czekolady... drogie  
[dziecko!...

• (Wybiegają jednocześnie).

~~~~~  
DWIE BROGI.
~~~~~

Widzisz, o pani, jakaś ty pusta!  
Gdy ja ci wszystko oddaję w dani,  
To ty kapryśnie sznurujesz usta  
I główką kręcisz, niedobra pani!...  
Nie w smak ci moje miłosne słowa  
I nie do gustu — moje ofiary!  
Czyż łysa moja z hulankę głowa?

Czyż jestem stary?

Ja ci powiadam, że one gwiazdy  
Tak cudnie świecą nad naszą glebą,  
A ty — szalona! — koniecznie jazdy  
Żadasz odemnie — pod włoskie niebo!  
I kiedy ja chcę w tobie — żoneczkę  
Widzieć przy rondlu oraz przy balii,  
Ty masz odpowiedź, że choć troszeczkę

Chcesz być — w Itali!...

Ja ci tłumaczę, że kto, gdy kocha,  
To szczęśliw nawet z ubogiej chaty,  
A tobie w główce, o pani płocho,

Świta buduar, salon bogaty...  
I gdym ja gotów mieszkać wysoko,  
Byle być z tobą bez czasu straty,  
Ty pragniesz mebli w stylu *rococo*,  
Choćby — na raty!

Ja ci przekładam, że szych — nie złoto,  
I że nietylko chlebem żyć trzeba;  
Że dusza ludzka karmi się oto  
Ideałami, uśmiechem Feba!  
Ty na to tupiąc swą drobną nóżką,  
Wołasz, że niema w tem dla cię szansy,  
I chcesz francuskie, mieć pod poduszką  
Tylko romansy!

Ja ci powiadam, że człowiek życie  
Powinien czerpać przeważnie z siebie,  
Że ci co kąpią się w dusz swych świcie  
Błogosławieni będą na niebie!  
A ty mi na to — Niema, jak gumy,  
Łoża w teatrze, z gabinetami! —  
I podziwianą chcesz być przez tłumy!...

Wciąż blichtr cię mami!...

Ja cię zapewniam, że skromna szata  
Jest miłą Bogu, miłą u ludzi!  
Że tylko dusza ludzka bogata  
W pośród potomnych zachwyty budzi!  
A ty wciąż swoje: — Ja chcę mieć broszę  
Z samych brylantów, dyamentów cztery  
I taki łańcuch kupić mi proszę,  
Jak — Cavalier!...

Wreszcie — wędrownych masz zwyczaj ptaków  
I nigdzie miejsca zagrzać nie możesz...  
Pełno przy tobie podróżnych saków,  
Celem twym — użyć, chociaż nie orzesz...  
Próżno ci mówię, że wszędzie mile,  
Ale najmilej jest w własnym domu!  
Ty — chcesz w Szwajcaryi posiadać wille,  
Zamki — śród złomu...

Więc mnie przeraża takie zachcenie,  
Bo je wykonać zgoła nie mogę...  
Tobie Rotszylda potrzebne mienie...  
A zatem pójdziem — w rozbieżną drogę!  
Ty sobie męża wśród giełdy królów  
Znajdziesz, co będzie wciąż zysk obliczał,  
A ja u niego, schnąc z serca bólów,  
Będę — pożyczał!

### ~\*~\*~ TĘCZOWY IDEAL. ~\*~\*~

O tęczowym ideale  
Ciągłe młodzian snił,  
I przeklinał świat i losy,  
Że mu brakło sił!  
Aż nareszcie dopiął celu!  
Za czem gonil?... spyta wielu:  
— Czy to panna, czy to wdówka?  
Nie! to była storubłówka!  
~\*~\*~

### WOJTEK W BRAZYLEI.

Ano, jak ci ta przekłete agenty, coby ich  
choroba, zaceny godać a godać: Jaćta Wojtasiu  
do Brazylei, co piachu złotygo, śrybła, bryljantów  
i oliwy jak mrowia jakiego, wedle grontu wsela-  
kiego spokojem se spoczywa, takim i rzykł se:  
A no! nima tam co i medytować po próżnicy, jeno  
wedle lba po rozum iść, takoz do karémy z Abrom-  
kiem pogodać, kumów napotkać, gront puścić, babę  
na wóz, dziecioków a jakże i jazda do Brazylei.

Takim ci i zrobił! Posedem ino pierwotnie  
do baby i podam: Słuchaj, psia wiaro, Agato!  
Jedziewa... — A ty hyclu jaki gdzie?... baba zaga-  
duje. A no, kobito, do Brazylei..! Jakiem ci to rzykł,  
baba chlust kluchy o chałupie i w bek!... A ty  
psi synu, wrzeszczy kobita, ojcowizne i gront na  
poniwirkę ludzką, na zatracenie gubis... A ty od-  
mieńce jeden, dziecioków niemcom na pastuchy  
oddas... O carnoz moja biedna doła, o! co ja po-  
cnę, bidna kobita! I chlust mnie w giembe, tak  
odniehczenia, ino bez złość.

Coze ta z babą przeklantą robić! Godoli ci  
po wsi calusieńkiej, że człeka ino scenście cyka  
u tych brendzelników, więc se ta uporłem! We  
śtyry niedziele juze nos w cholupie nie był!  
A godał dobrodziej, a przekłodał i nawrocał grze-  
śnika! Uporłem się choroba i tylo! Ano, jakieżwa  
wzięli, to i pojechaliśwa! Jechaliśwa, zlituj się

Panno Maryo, z jakie čtyry niedziel. Gdzie ino ślepiem rzucić—narodu jak mrowia. A jaki to naród! Same miemcy i niemcy! Pożal się Boże! Godać, to ci godają ino po śwabsku a po inak-szemu to już nijak, ani w ząb! Nic ci ta bestye nie robią ino ciągiem piwo ciągną i ciągną. A jak zapytas się wedle jenteresu takiego odmieńca, to ci dobrego słowa ciekowi nie da. Zagulgoce jeno jężorem pod nosem i tyła. Aj, skaranie ci Boskie było z tym narodem. Jakieśwa przyjechali do ich wsi, takim do śwaba rzykł: „Brojtu dawajta“; no i ci śwab bestyja brojtu da! A jakim ci rzykł potym: „A teraz dawajta kielbasy za dydka“, — szwab ino gembą po głupiemu ruszył i jak uciał siekira, nie wi co godam! Cholera kraj taki. Potym to myśwa okrętem pojechali do Brandzylei, coby ją choroba! A no! nijak ci nie potrafię opowiedzieć, jakie tam narody! Carne jak djably, a krzywe jak nieboskie stworzynia. Po nasymu to żaden bestyja godać nie potrafi. Miele ci tyło tak, że go sam lucyfer nie zrozumie. Gront to u nich *piu piu*, widły *waj-waj*, a kobita: *ovej-rety*! No, i gadajże z takim chamem! Jakim ci to zobaczył takim zbaraniał do ryśty! Godam do kobity: babo, jedziewa nazod do chałupy! A no, i pojechaliśwa! A tera jezdema, ino nie na swoim a na cudzym groncie! A jakby jakowe agenty znowu do chałupy przyśli, to jak Boga miłuje, siekierą łeb utne i tyło!

## MONOLOG FURMANA.

Interes furmańskie, prosze państwo, to jest bardzo lepszy interes, tylko bułoby jeszcze lepsiejsze, coby te kunie złodźje mogli odwyknać od szane i koniczyne.

Ja miał w swoje turmańskie rzemiosło jednego bardzo fajń kuń, to un buł ogromnie wielkie żarłocznik, przez tego to ja sobie powiedziałem, co ja potrzebuje odzwyczaicz tego kunia od żarcza.

Co ja zrobiłem, prosze państwo?...

Ja jemu na początek to dał tylko jeden porcy szana, to tam może buło pięcz kawalki słomy, a prócz temu to ja jemu dał jeden kubel z wode i nic więcej.

To ten kuń jak zjadł, to już nic nie mówił i wcale nie prosił, coby jemu dacz jeszcze kawalek na przykładkę.

Przez tego to ja sobie pomiszlałem zaraz, co jemu na tego sposobu będzie można pomalutku odzwiczajcz od tego paskudne łasowanie.

Na drugi dzień to ja jemu dał jeszcze mniej, na trzeci dzień także dał jeszcze mniej i on już zupełnie nic nie brał do gębe i buł całkiem odzwyczajone, to wtedy on, ten paszkudnik, wziął i zdechl.

To ja sobie miszłę, co ja niemam szczęszcze na tego szwiat, bo jak mój kuń buł już odzwyczajone od jedzenia, to un mnie zrobił takie brzydki interes i zdechnął!..

## TEŚCIOWA.

Miałem narzeczoną!... A tak ją uwielbiałem, że chętniebym poszedł za nią w dziewicze lasy lub puszcze afrykańskie... Ale to jeszcze nic! Ja ją kochałem... no, co tu długo mówić... Kochałem ją... jak Pompiliusz Numę, albo jak Romeo Julię! Żebyście państwo wiedzieli, jakie ona miała oczy, jakie oczy! Wielkie, jak nieprzymierzając buldygony... no, a koloru... jak tu państwu wytłumaczyć... koloru... koloru... czarno niebieskawego, a blasku fosforycznego!... Słowo honoru, miała fosforyczne oczy! Albo ten nosek!... No — któżby nie klękał przed takim noskiem? Duży, a niby mały, grecki a niby wpada w zadarty, no... jednym słowem, był to rzadki nos. Roku całego trzebaby chyba na omówienie wszystkich zalet i wdzięków mojej narzeczonej... Więc też kochałem ją i ubóstwiałem niemal do szaleństwa! Tak jest... (z *westchnieniem*) do szaleństwa! (po *chwili*). Masz gust! mawiali moi przyjaciele, klepiąc mnie po ramieniu. Spodziewam się — odpowiadałem — no, ale cóż z tego, kiedy moja narzeczona miała matkę, matkę — która w niedalekiej przyszłości, zwykłą koleją fatalnych wypadków, miała zostać moją teściową!... Panowie to pojmuja! Brr!.. Na samo wspomnienie o tym potworze — *pardon* (z *naciskiem i ironią*) o tej damie, truchleję cały! Przedewszystkiem, ta poczwa-

ra miała włosy nieokreślonego koloru; do takich zaś włosów czuję wstręt nieprzewyciężony! Czoło niskie, niewyraźne, szkaradne... uszy długie jak... no, ale mniejsza z tem... A nos!... już to nos miała niemożliwy! Widziałem przecież w pielgrzymce swego życia nosy rozmaitych gatunków i kształtów (*pokazuje*) i takie... i takie... ba, takie nawet, alem takiego nosa nigdy w życiu nie widział i chyba już więcej nigdy nie zobaczę!...

Był to nos... ot mniej—więcej — takil! Był to poprostu nos... słonina, w zmniejszonym nieco formacie... Słowo honoru! A usta jakie miała!... No, najpierw to nie były wcale usta... tylko, ale co tu długo rozpowiadać!... Dość powiedzieć, że ona... no, że miała być moją teściową, a jestem pewny, że na samo wspomnienie tego okropnego wyrazu nie jednego z obecnych tu panów siarczyście przejdą dreszcze! Otóż, proszę państwa, moja przyszła mamusia usiłowała często wmawiać we mnie, że ja nie kochałem jej Florci! No, słyszane to rzeczy! Ja nie kochałem Florci?! Ależ ja ją ubóstwiałem! Kiedy indziej znowu usiłowała wmówić we mnie, że ja poluję na posag! i, proszę sobie wyobrazić, indagowała mnie ciągle z tego powodu o mój stan majątkowy: (*naśladując*) a ile zarabiasz? a ile posiadasz w gotówce? a ile tracisz niepotrzebnie i gdzie tracisz?... i tak prawie ciągle! Oj, te indagacje! Szedłem na nie, jak na najstraszniejsze tortury! (*naśladując*) Moja Floreczka — skrzeczała — po-

trzeba koniecznie fortepianu; moja Floreczka powinna się bawić, moja Floreczka powinna bywać często na balach, rautach, koncertach, w teatrze; moja Floreczka musi mieć zawsze parę sukien balowych, aby się nie kompromitować, chodząc często w jednej; moja Floreczka... aj, czego tam jeszcze Floreczka nie potrzebowała! A co najgorsza, że w konkluzji każdej takiej przedślubnej przemowy sły-  
szałem ciągle jedno i to samo: — Gdybyś mi miał moją Floreczkę unieszczęśliwić po ślubie, to wolę, żeby się teraz pod tobą święta ziemia zapadła! No, i jakże się to państwu podoba?!... Ona (*z naciściem*) woli, żeby się (*jak w.*) teraz podemną ziemia zapadła! Oj, jędzo, jędzo! myślałem sobie wtedy, bodaj — tyś się już raz zapadła, to z ziemią łatwo dam sobie radę. No, ale co dotychczas zdążyłem opowiedzieć, to wszystko jeszcze fraszki w porównaniu z tem, (*smutnie i z westchnieniem*) co potem nastąpiło! Okropne fatum prześladowało mnie widocznie na każdym kroku! Ono widocznie działo, że imieniny matki mojej narzeczonej przypadły przed Nowym Rokiem... (*po chwili*) Myślę sobie: trzeba się na coś zdobyć! Ale na co? W tem sęk właśnie, a tu, w kabzie, krucho dosyć, bo na nadwiślańskiej drodze, jak to państwu wiadomo, nie świetnie się nam, białym murzynom, powodzi. Myślę sobie: źle. Lecz wpadłem wkrótce na pomysł genialny! Kupiłem otóż... broszę (*z dwuznacznym uśmiechem*) brylantową.. to jest... niekoniecznie

brylantową, ale że kamienie do złudzenia naśladowały brylanty, więc też najpewniejszy byłem, że teściowa na tej mistyfikacji się nie pozna... Cóż znowu!... W ostateczności przecież, gdyby miało zająć z jej strony, co do prawdziwości kamieni jakieś podejrzenie, to gotów byłem zakląć się: (*pada na kolana*) ależ mamusiu, jak cię Kocham... tak prawdziwe! (*z zadowoleniem*) Próżne przecież były wszelkie obawy! Fabrykant sztucznych brylantów mógł się szczycić swoją robotą! Lśniły się jak prawdziwe ognie, a teściowa, po otrzymaniu tak wspaniałego upominku, znajdowała się w ciągłej ekstazie! Tego wieczoru przecież nie przeszkadzała nam wcale! A więc gruchaliśmy z Florcią... jak gołąbków para... (*po chwili*). Sytuacja tedy kłopotliwa została uratowaną!... (*smutnie*) Tak sądziłem... (*z gorącością*). Ale jakżem się omylił!... (*wściekle*) Oj, teściowe, teściowe!... (*po chwili*). Na drugi dzień, w chwili, kiedy się oddawałem miłej poobiedniej drzemce, otrzymuję oto ten list (*wydobywa pismo*) pisany ręką... mojej teściowej... (*czyni ruch ręką na znak, że już wszystko stracone i czyta*). „Panie! za czyn twój niegodny niechaj ci w niebie odplaconem będzie! Nędzniku, twoje fałszywe brylanty dowiodły jasno, chociaż się nie świecą, że i ty byłeś fałszywym, chociaż starałeś się być brylantem i olśniewać nas swoim blaskiem! Ale złe minęło! Dzięki właśnie twoim fałszywym kamieniom, moja najdroższa Floreczka

została uratowana. I ją haniebnie oszukać chciałeś, moje niewinne, biedne dziecko! (*Placze*). Niechaj cię moje oczy nie widzą! (*Przerywa czytanie częstymi wybuchami tłumionego płaczu*). Straszny, potworny człowieku! Podpisano najwyraźniej: Hermenegilda Zięciolap-Niemożebnicka“. A u dołu: (*czyta*) „Nie spodziewałam się, aby mężczyzna tak długo i do tego stopnia potrafił się maskować. Jesteś pan istotnie niegodziwcem! (*Z płaczem*). Ona powiada, że ja jestem niegodziwcem! (*Czyta dalej*). A wszystko to, co mama panu napisała, jest świętą prawdą, mój panie.. Żegnaj go na zawsze. Post-skryptum: zechce pan bezzwłocznie odesłać mi moją książkę pod tytułem: „Życie św. Genowefy“. Podpisano najwyraźniej: Florentyna Niemożebnicka. W pierwszej chwili list ten był dla mnie gromem, piorunem, straszmem nieszczęściem, katastrofą — jakiej równej pod słońcem nie było! Ale tylko w pierwszej chwili. Potem zastanowiłem się dobrze nad całą istotą rzeczy (*mówi wolniej*) uspokoilem się, zrezygnowałem i... i... zaręczyłem się... po raz drugi.. Państwo okazujecie z tego powodu żywe swe zadowolenie?... O! jakże szczęśliwym się czuję!... Moja narzeczona — to cukierek, a moja teściowa (*dobitnie*) nie mam teściowej!... Tym razem pokochałem prawdziwie męską i rozumną miłością, a nie tą idealną, poetyczną — (*z pewną wstydlivością*). Zdaje mi się, że jestem kochany wzajemnie... (*po chwili*) Ślub mój

odbędzie się niezadługo, a będzie mi miło na takowy niejedną z obecnych tu osób zaprosić, tymczasem zaś.. (*kłania się i odchodzi*).

## STARY KAWALER

Jegomość niemłody, o twarzy zwiędłej i z charakterystyczną fryzurą głowy; frak wytarty o mur, cylinder zmiętoszony; pod pachą stos listów i kartek fotograficznych; od czasu do czasu jąka się i przygląda się sobie.

Gdyby to nieboszczyk... m... major... sit tibi terra... le... vis... żył.. ha! A toby... panie d... dobrodzieju zakpił z asana!... (*odwracając się*) Pa... Paweł — szcztokę! (*zoryentowawszy się*) przepraszam b.. bardzo, z... zapomniałem, że nie jestem u... s... s... siebie! (*strzepując z siebie pył*) Aaa... to ci ła... a... a... dna historya! Niech Bóg uchowa!... Ledwem z życiem uszedł. Gdyby nie młodzieńcza siła i żyłaste muskuły, byłby mnie ten rzeźnik poćwiartował na sztukę mięsa i odsprzedał jutro do restauracyi... j... jak naprzedniejszą w... woł... wołowinę!... (*poprawia cylinder i mówi głosem wielce rozżalonym*). A to ci kielbaśnik dopiero!... (*zwracając się do słuchaczów*). Ale, zdaje się, że p... pa... państwo radzi by wiedzieć, co to i... i... jak to było i o co mi właściwie idzie? Ciekawość bardzo naturalna. Skoro się wchodzi pomiędzy taką m... masę ludzi i zaczyna się mówić,

ze swadą De... De... Demostenesa, to znaczy się, że się ma coś do powiedzenia. Inaczej byłoby to co najmniej *shoking*, tak dobrze, jak cała moja dzi... dzi... dzisiejsza wyprawa po... o... o... żone! Pa... Pa... Państwo się dziwią?.. No, co prawda, nie było się czego jeszcze spieszyć, ale kiedy mnie ten szelma Kociołkowski r... ra... zem z Dziubkiewiczem namawiali: a żeń się już raz cie e... e... mię... go, toć to psie życie być do śmierci jak kołek i tłuc się wiecznie po knajpach... Bę... bę... dziesz miał w domu... w... wikt porządny, przyodziewek, jak się patrzy, skaarpetki wszystkie za przeproszeniem p... pań... stwa pocerowane, a co najważniejsza... ko... obietę... biete, która jest słońcem domowego o... o... ogniska... Dajcie mi tam pookój z tem w... wa... szem słońcem; wolę już te n... nasze gwiazdeczki, tak zalotnie mru... mru... gające, a zresztą niema co, już ja chyba starym kawalerem zostanę!... — Jakto, zostaniesz?... mówi do mnie ten ka... ka... walarz Kociołkowski, ty już nim jesteś, mój złoty szpaczku!... — Co taakiego?... je... e... stem? (*zwracając się do jednej ze słuchaczek*). No proszę sza... a... nownej pani, czy ja wyglądam na szpaka?... z taką, panie dobrodzieju, sprężystością (*prostuje się*) z taką, panie tego, zamaszystością... he? Prawda, że nie? Ale gadaj im! (*z komicznem oburzeniem*). Jak świat światem — takiego naprzykład Kociołkowskiego i Dziubkiewicza — nie było jeszcze! Kpia,

panie ze wszystkiego, facecyonują, nic nie u... u... szanują, gotowi szelmy tańczyć na cudzym po... o... grzebie! Od pewnego czasu wzięli sobie mnie za cel jakiejś szczególnej o... o... opieki i nuż gwałtem pchać do ołtarza... Co u licha, myślę sobie, muszą oni mieć w tem swoje widzimisie, bo co im po m... m... ojej żonie? (*po chwili, ostro i na wpół komicznie*) mnie ona zupełnie niepotrzebna... Ale tym „starym kawalerem“ dobili mnie zupełnie... Niech wam za to święty Piotr wrót niebieskich nie otworzy... ale... o... ożenie się!... Ba! ale — jak? co? skąd? Dobrze to niby p... powiedzieć, ale żony ch... chy... ba na poczekaniu z rękawa nie wytrzaśnie... ani jej z Wisły nie wy... łoo... wi jak szczu... u... paka! — Fra... a... cha! mówi do mnie Dziubkiewicz, znajdziemy ci żonę z „Ku... u... urjera!“ Ogłoś się w „Warszawskim...“ no, że... młody, przystojny... jak mówią kawaler (*z naciskiem*) główna rzecz: kawaler, zajmujący stanowisko starszego pomocnika młodszego referenta w jednej z po... o... ważniejszych instytucyi, poszukuje na dozgonną to... o... warzyszkę tego oplakanego żywota młodą osobę, pannę, pierwszy warunek (*z naciskiem*) pannę, blondynkę, przedewszystkiem blondynkę, z posagiem... o, bardzo nawet z posagiem i z zadartym n... no... noskiem, koniecznie z zadartym noskiem... Za... apłaciłem w okienku „Kuryera“ za tę przy... przyjemność 60 kop i w ciągu trzech dni (*pokazuje stos*

listów) o, proszę państwa, co się nasypało!.. Li... listów, fotografii, nie fotografii, blo... o... on... dynek nie blo... ondynek, możnaby tem całą zimę porządnie w piecu napalić... *(wydobywa jedną fotografię, przygląda się jej uważnie, jakby sobie coś przypominał, poczem śmieje się głośno)* Ziutka, jak Boga kocham, Ziutka, ta sama *(zwraca się do jednego ze słuchaczy)* panie łaskawy, co pan wie... i ja także... ta sama, jak Boga kocham! także chce wyjść za mąż i złapać frajera!.. Ale jak wy... wy... ładniała szelmutka, ledwom ją po... o... o... znał!.. Z pomiędzy tych 187 kandydatek, znalazłem dwie najodpowiedniejsze: tu blo... on... dynka i tam blo... on... dynka, tu pa... a... nna i tam pa... nna, tu po... o... sag, gruby nawet i tam po... o... sag, także gruby... No, myślę sobie, koniec ze mną, raz kozie śmierć, niech Kociołkowski z Dziubkiewiczem tryumfują... Jak mnie państwo widzicie, tak we fraku, po... o... szedłem do pierwszej blo... o... ndynki, do tej z większym po... o... sagem... Chmielna 13 mieszkanie 84. Dzwono... o... o... nię. O... twierają.—Mocno prze... e... e... praszam... czy tu? *(głosem starej panny)*. Prędko, prędko, proszę wejść, bo cugi... Muszkę zawieje... Bogowie, gdym wszedł, zdawało mi się, że jestem na górze świętego Bernarda... albo u Dytwalda! Trzynaście psów i pie... e... sków, najwyraźniej trzynaście... sam liczyłem, rozmaitej wielkości *(pokazuje)* ta... a... kie, t... a... kie, trochę

większe... ta... a... kie! — Przepra... a... szam, wybełkotałem, nieco drżący, ależ tu cała psiarnia u pani dobrodziejki, psiarnia, jak Boga ko... o... cham. — Co, co takiego, jak pan śmiesz! Rutka, Muszka, Zorka, Fiutka, Ciutka... ten przybysz śmie wam ubliżać! — Szanowne panie i panowie! Daremnie sililbym się na opisanie sytu... u... acyi człowieka, obsaczonego w jednej sekundzie przez tuzin psów i jeszcze jednego! Jakim cu... u... dem zdołałem się wycofać z tego psiego gniazda, nie pamiętam, ale niestety, starczyło mi jeszcze na tyle sił, aby spróbować szczęścia u... u... drugiej blo... o... ondynki *(spogląda na siebie)* Pa... Paweł — szcztokę! *(przypomniawszy sobie)*. Ciągłe mi się zdaje, że jestem u... u... siebie. Po... o... dwale 101 mieszkanie 8. Dobryś: ładny sztuk drogi... Wsia... a... dam do tramwaju i wa... a... lę. Przybywam na miejsce i rozpoczynam taką ceremonię, jak u tej pani z pię... e... skami: dzwonię, prze... e... praszam, lecz zamiast spo... o... dziewanego uśmiešku blo... o... ondynki, spotykam się w jednej sekundzie z parą żylastych rąk jakiegoś niebotycznego dra... a... ba, które mnie łapią za szy... y... yje! — Panie łaskawy! krzyczę, z trudem wydobywając z siebie głos. — Ja ci tu dam: panie łaskawy! Będiesz mi tu kobietę bałamucił, ty huncwocie jeden! — Nieszczęsny człowiecze — co czynisz? Przecież to ja... — A wiem, wiem, krzyczał wściekły rzeźnik, że to ty!.. Czulem, że tu moja ostat-



nia godzina zbliża się! Użyłem wszystkich s... sił, aby zawołać: szlache... e... tny przedstawicielu znakomitego ku... u... unsztu!... ale to był głos wotającego na puszczy!... Pomiętosiwszy mi frak, klak, dał mi Otello z jatki (*robi odpowiedni ruch nogą*) tak, i wygnał sromotnie z miejsca tak nieszczęśliwego rendezvous Domyślam się, żem padł o... o... fiarą jakiegoś fatalnego nieporozumienia i że głównymi sprawcami moich dzisiejszych nie... e... szczęść byli Kociolkowski z Dziubkiewiczem... Oni musieli wszystko to ukartować, aby zrobić sobie taką la... a... bę! (*odgrazając się*). Ale ja im się odplączę!... (*Odchodzi*).

~~~~~

DOROBKIEWICZ.

Mina napuszona, mówi wolno, ociągając się.

Hm... mówią mi wszyscy, że mam miękkie serce... Czemu ja niemam mieć miękkiego serca, kiedy mnie stać na to?... A jeżeli mnie stać na to?... Jeżeli mnie stać, żebym Matejkę albo Simiradzkiego powiesił na ścianie, to mnie wystarczy także na kawałek miękkiego serca... Na kawałek?.. Na cały kawał!... Ojoj, przecież serce to wcale nie jest znowu taki trudny interes... Daje się do gazety pięć rubli bez różnicy wyznania i już jest bardzo miękie, bardzo czułe kawałek serca... Ja sobie mogę śmiało pozwolić na tę przyjemność... Jak była cho-

lera, to ja też dałem trzy ruble w gotowiznie na dobroczynność i zamknąłem się na sto zamków w domu, dlatego, że gdybym się zaraził tą paskudną chorobą, toby przecież cała bieda warszawska straciła takiego filantropa jak ja jestem, a ja tego nie chciałem... Niech oni wiedzą, że Rozenkranc żyje.. A jak Rozenkranc żyje, to oni też żyć będą.. To już jest taka moja miękka natura, że ja muszę dogodzić wszystkim!... (*Do publiczności*). Proszę zobaczyć, wielu biedaków stoi codziennie przed moim pałacem, który mnie samego kosztował dwa kroć pięćdziesiąt tysięcy czystego grosza!... A umeblowanie moje?... Ja już wcale nie liczę!... Meble kazałem sprowadzić prosto z Paryża, kosztowały mnie masę pieniędzy, wiele — już nie pamiętam, ale kazałem ich zrobić w guście Ludwika 74-go, on, zdaje się, był największy tapicer na całym świecie, i są zrobione wysokie od góry i małe od dołu, złożone, rzeźbione a w środku haftowane... prawdziwe antyki!... Czy państwo mają pojęcie, co się działo w Warszawie, jak ja te meble sprowadziłem!... Gdzie się tylko siedziało albo chodziło, to się wszędzie słyszało o meblach Rosenkranca... W innych pokojach mam też bardzo ładne meble, a najładniejsze to sobie stoją w pokoju różowym, który dlatego się tak nazywa, że moja żona Róża często sobie w nim siedzi i urządza taki modny flirt z różnymi panami... ma się rozumieć... dygnitarzami, którzy do mnie przycho-

dzą... U mnie w ogóle bywa sama arystokracja, dlatego, że ja sam jestem z bardzo delikatnej rodziny i lubię także, żeby u mnie bywały różne wielkości artystyczne, muzycy, śpiewacy, pisarze, malarze, ale nie ci, którzy malują sufit, tylko tacy, którzy pędzlą na płótnie... (Do jednego ze słuchaczy). Pan myśli, że mnie taki interes mało pieniędzy kosztuje?... Proszę pana, wiele u mnie kosztuje jedno *soirée*, to pana z pewnością cały rok tyle nie kosztuje!.. Dlatego, ja panu powiem, że ja lubię... albo — albo, jak mówili rzymscy ludzie; widzisz pan o tem przysłowiu ja się dowiedziałem od jednego rzeźbiarza, który ciągle mieszka w Rzymie, dlatego, że on tam lepi z gliny i z wody różne starożytne antyki... Jak ja wyprawiam jaki wieczorek, to już się nazywa cały bal... *grand bal*. U mnie na taki wieczorek pan znajdzie wszystko: ryby z różnych gatunków, potem mięso, jak w restauracji: jakie pan sobie tylko życzy, może być na zimno i na gorąco, cielęcina, pieczeń wołowa, różne zwierzęta i dzikie u mnie bywa też, chociaż to kosztuje ogromne pieniądze!... Moja żona wchodzi wtedy do swego różowego pokoju i siada sobie na największym krzeselku; kosztowało mnie to krzeselko może dwieście rubli i robi przyjęcie wszystkich gości, dlatego, że w moim domu wszystko musi się odbyć z wielką ceremonią... Antoni — pan jego nie zna?... (śmiejąc się) oj, muszę panu opowiedzieć tę

pekającą historję... On jest mój lokaj do zameldowania gości... Jak ja go przyjąłem, to mu zaraz powiedziałem: — Słuchaj, mój kochany, ty się możesz u mnie zostać, ale tylko musisz sobie ogolić wąsy!... — On na mnie zrobił z początku takie oczy, jakby mnie chciał ukąsić, on ma dobry gust, prawda?... — a potem się zająknął trochę i powiedział mi, że on sobie nie może ogolić wąsów... — Dlaczego ty sobie, mój kochany, nie możesz ogolić wąsów?... — spytałem go, przecież wszyscy kamerdynery i lokaje z hrabiowskich domów mają ogolone wąsy?... — Bo ja się boję, proszę jaśnie pana, że jak ja sobie ogolę wąsy, to ja będę wyglądał jak małpa!... — Słyszane to rzeczy?... On się boi, żeby nie wyglądał jak małpa?... Głupi jesteś, mój drogi, powiedziałem mu bez wahania: a czy ty nie wiesz o tem, koteczku, że wszyscy ludzie rodzą się od małpy... (Nadymając się). Oprócz, ma się rozumieć, dobrze urodzonych rodzin, które się rodzą wprost z arystokratów.. reszta wszystko małpy!... On się zdziwił ogromnie, uśmiechnął się, zrobił wielkie oczy, więc ze mnie wylazł w tej chwili cały Rosenkranc i powiedziałem mu: „No, nie potrzebujesz się martwić, ja ci dołożę jeszcze pięć rubli i ogól swoje wąsy!... No, co państwo myślą, że on nie ogoli?... W tej chwili. — Nie trwało może pół minuty, a mój Antoni już był bez wąsów... Byłem taki szczęśliwy, że go o mało co wtedy

nie pocałowałem... wielkie państwo mają czasami takie zachcianki... i ja państwu powiem: u nas, u arystokracji, to się takie kawałki nazywają wybryczki... my czasami bez nich wcale żyć nie możemy... (*Smutnie*). Oj, jak ja sobie przypominam jeden taki wybryk w naszej rodzinie, to mi się niewiem co robi!... Państwo nie mają przyjemności znać mojej najstarszej córeczki Reginki... nie?... Szkoda! Co to było za dziecko!... Rodzona arystokratka!... Jak ona chodziła!... jak ona się ruszyła... ja, ojciec, mało nie fiksowałem z ukontentowania... (*Z entuzjazmem*). Trzeba było tylko widzieć, jak ona się na kogo spozrzała... (*Chce naśladować*). Spuściła powieki na podłogę, a potem mrugnęła sobie z okiem... to było coś tak *fajn*... ja nie mogę państwu pokazać, ale wszystkie hrabianki, to mogły śmiało brać od niej lekcye!... Cóż dziwnego, że wszyscy młodzi ludzie za nią szaleli?... Ona miała w sobie tak coś *pik-fajnu*, że kto się na nią raz spozrzał, to już miał zawróconą głowę! A jaka to przytem była artystka!... Coś pan tylko chciał, to zaraz wszystko zrobiła na oczekaniu!... Czasami, jak byli goście, to ona tak sobie od niechcienia stanęła na otwartym balkonie, ja mieszkam na całym pierwszym piętrze od frontu, i zaczęła śpiewać różne kawałki, to wyglądało jak prawdziwa serenada włoska, a goście to nic nie robili, tylko bili brawo ile się tylko zmieściło... A na fortepianie jak ona grała!...

Co pan tylko chcesz: i Sarasatego i Moniuszki i Sonenfelda, a Lewandowskiego, to umiała całego na pamięć! Ja jej tylko potrzebowałem powiedzieć: Zagrajno, Reginiu, jaką ładną sztuczkę!... — A co papa sobie życzy?... Mam w swoim repertuarze — trzeba panu było słuchać, jak ona to mówiła — „mam w swoim repertuarze wszystkich kompozytorów!“... A jak już usiadła przy fortepianie, to z tego wielkiego natchnienia i namiętności, to już mogła siedzieć całą noc i grać!... Już wszyscy mieli dosyć — ona jeszcze siedziała i grała!... Na jednym moim *soirée*, to u mnie był sam kwiat od wszystkich sztuk pięknych! Kogoś pan tylko chciał, toś pan u mnie widział!... I ja panu powiem, u mnie było wtedy tyle arystokracji, że ja nawet nie spamiętałem do dzisiejszej chwili, kto wszystko był! Wiem tylko to, że na mojem podwórku pałacowem czekało na jasne państwo ośmnaście karet, dużo było też na gumowych kołach, a hrabiów i księciów co się kręcili w moim salonie z założonemi rękami, to było parę tuzinów... Było także kilku artystów z operetki, był pan dyrektor Czystogórski, panna Kirszenstejn była, ona nawet śpiewała, ale nie tak jak moja córka, i było kilku literatów z gazety, oni piszą o różnych wypadkach, bardzo weseli młodzi ludzie, tylko trochę kosztowni i mają (*śmiejąc się*) jedną małą wadę, co nie mogą się patrzeć na próżne butelki!... (*Pobłaźliwie*). No, co pań-

stwo chcecie, to już jest taka natura!.. Więc na takim *soirée* u mnie w domu stało przy zimnym bufecie—u mnie jest zawsze zimny bufet—dwóch panów, jednego to znałem doskonale, był z gazety literat, a drugiego nie znałem wcale, tylko on mi się ogromnie spodobał, bo miał prawdziwą pańską minę!.. Ja się znam doskonale na tym gatunku ludzi... więc on od razu przypadł mi do przekonania!.. Ale żeby mnie powiesić, to ja nie wiedziałem, kto on jest za jeden, widziałem tylko, dzięki Bogu, że ma wcale niezły apetyt i nie lubi, żeby mu w gardle było sucho... Kto wie, myślę sobie, [czy to nie jest jaki hrabia, który wszedł bez zameldowania, ale jego pewnie ktoś przyprowadził... Zawołałem jego przyjaciela, z którym do spółki robili sobie mokro w twarzy, jak to się mówi, i pytam go, kto on jest za jeden?...—Jakto, pan jego nie zna?... odpowiada mi, to jest nasza znakomitość!.. (*Robi nagle ruch ręką, jakby odtrącał kogoś*). Ja już więcej nie potrzebowałem wiedzieć!.. Dałbym głowę, że to jest jakie wielkie hrabiowskie dziecko, które przyjechało do naszego miasta zrobić dobrą partycję... Dlaczego nie?... Czy mu się to nie należy?... Nie ma u nas pierwszorzędných partycji do zrobienia?... Ojej, a panna Regina Rosenkranc, królowa z wszystkich balów: (*wylicza*) gra, śpiewa, tańczy, maluje, rzeźbiuje, deklamuje i jeszcze inne rzeczy robi, o których ona sama nie wie — to jest może zły interes dla

pana hrabiego?... (*Dobitnie*). A jak ja sobie powiedziałem, co ten młody hrabia mnie się spodobał, to ja muszę zrobić z nim partycję!.. Mnie stać na te przyjemności!.. Dlaczego ja się nie mam nazywać (*z rozczuleniem*) dziadek od hrabiowskich wnuczków?... (*p. ch.*). No i jak państwo myślą?... Z tym interesem zrobiła się partycja... kosztowało to masę pieniędzy i były takie kłopoty, że ledwo dało się ślub zrobić!.. Przedewszystkiem mój zięć — ten hrabia — to miał okropny wypadek, jak mi powiedział, on zgubił wszystkie swoje papiery i nie wiedział nawet, wiele miał lat, gdzie się urodził (*z oburzeniem*) i on nie wiedział nawet, z jakiej on szlacheckiej rodziny pochodzi... Ja już byłem w okropnym strachu, więc pytam się go: mój zięciu kochany, powiedz no mi z łaski swojej, czy ty prawdziwy hrabia jesteś?... -- Niech papa będzie spokojny, nietylko głupim hrabią, ale nawet księciem mogę być!.. (*Z zadowoleniem*). Słyszaleś pan, to jest ładne powiedzenie, tylko jedne małe słówko: (*naśladować*) nawet księciem być mogę!.. (*Z zardrosnem westchnieniem*). Oj, te wielkie panowie, jakie oni mają wspaniałe fantazy!.. (*Smutnie*). Co państwo chcecie?... Mój zięć (*wzdychając żałośnie*) też miał swoją fantazy!.. Na weselu z moją córką sprosił ogromną masę gości... mnie ogromnie dziwiło, że nie widziałem ani jednego hrabiego ani księcia, tylko było bardzo dużo panów, którzy byli podobni do mego Antoniego,

dlatego, że prawie wszyscy mieli ogolone wąsy!... I mnie jeszcze dziwiło, że oni wszyscy byli kolegi, mówili sobie *per ty*, całowali się przy butecie, u mnie na weselu był też zimny bufet — i robili, powiadam państwu, takie trąbienie z kieliszków, że wkrótce nawet brakowało... Mnie to wszystko ogromnie dziwiło, skąd mój zięć-hrabia nabrał tyłu ogolonych facetów, a moja kochana żona Rózia była też bardzo niespokojna... A jak moja żona jest tylko trochę niespokojna, to już znać, że coś jest!... Przytem, to te ogolone (*wstrząsa się, gdy to opowiada*), panowie, to przyprowadzili ze sobą różne damy, które były tak namalowane, jakby miały farbę za darmo... One sobie mówiły również *per ty* i śmiały się ciągle, były bardzo wesole. . Odrazu to ja usłyszałem, jak jeden taki ogolony pan powiedział do swojej damy:—Słuchaj, Mańka, ty masz w czwartek pokazać w Łowiczu Piękną Helenę!... (*Słabym głosem*). Oj, myślałem, że mnie apopleksya zabije na miejscu!... (*Po ch.*). Co państwo chcecie?... Mój zięć, żebym go nigdy nie znał, nie był wcale żadnym hrabią, on był sobie po prostu komedyantem z ogródka i mógł na zawołanie pokazać hrabiego albo księcia nawet!... Co się u nas wtedy działo — to pan nawet pojęcia mieć nie mógł!... Moja żona chorowała, a Regińcia to spazmowała i zemdlala może sto razy (*Po chwili z pewną ulgą*). Dzięki Bogu, ja już to małżeństwo zerwałem, Regińcia jest sobie teraz

taki kawałek panny i taki kawałek żony, jego posłałem do wszystkich dyabłów i on znowu udaje hrabiów i księciów... Ładnie można wyglądać z takim hrabią... co?... (*Odchodzi*).

Monologi na bis.

I

MAŻ I ŻONA.

Mąż pojechał gdzieś na łowy,
Żona zaś została w mieście...
Już fakt gotów do obmowy,
Już kursuje plotek dwieście,
Że zdradziła męża żona,
Że mąż w smutku, jak śmierć chodzi,
Że on winien, winna ona,
Że małżeństwo się rozchodzi...

II

EKONOMJA KURJEROWA.

Pan, co wciąż w kurjerach klepie,
Krzyknął raz: — Nowina wielka!

Sam widziałem, jak ktoś w sklepie
Płacił za coś pół rubelka!
I „stojąco“ wnet w gazecie,
Aż się ludzka śmiała dusza,
Że się w handlu świetnie plecie,
Że się w handlu mocno rusza!

III

BANKRUT WARSZAWSKI.

Kupiec, co ma własne konie,
Raz przejechał się tramwajem,
Wnet w domysłach naród tonie
I Warszawa — swym zwyczajem
Niby tem zdarzeniem struta,
Miała kupca... za bankruta!

IV

PIŚMIENICTWO.

Jakiś człowiek pyta w sklepie:
— Czy dostanę tu bibuły? —
Wnet stugębna fama trzepie
I obiega gród nasz czuły:
— Nowe pismo się zakłada!

Trzy wydania! I dodatki —
I każdemu w ucho wpada:
— Ranne w paski! Nocne w kratki!

V

TRÓJKĄT MAŁŻEŃSKI.

Pobrali się bardzo zgodnie,
Szły im słodko dni, tygodnie,
A kochając się wciąż z sobą,
W dni coś trzysta mieli... bobo!
Lecz świat huknął, jak z armaty:
— Trza gdzieśindziej szukać taty!

NARZECZONY.

(Wchodzi na estradę z listem w ręce, czyta) Ana-
stazy Urzędkowski, w miejscu, postaniec opłacony...
(zwracając się do publiczności).

Czy państwo pozwolą?... *(rozrywa kopertę,*
mówi:) A zresztą, kogo to może obchodzić, co do
mnie piszą?.. Przeczytam ten list razem z moją
Kłocią... Tylko bardzo proszę, nie gorszcie się
państwo, bo Kłocia — jest to imię mojej narzeczo-

nej!.. Mój Boże, cóż to za uroczę określenie — narzeczona! (*zwraca się do jednego z panów na sali*) Zdaje się, że pan dobrodziej uśmiechnął się w tej chwili z politowaniem?.. Rozumiem, jesteś pan żonaty, więc masz kwaśną minę! W domu rozmaite nieporozumienia, scenki zazdrości, zwykle swary małżeńskie! Phi... stara to historia! Ciągłe mi o tem dudnił nad uchem mój poczciwy stryj mentyka, gdym mu oświadczył, że się myślę żenić... — Głupi jesteś! — grzmocił mi w oba uszy, roi ci się jakieś na świecie szczęście domowe, myślisz, że skarb złapiesz, a to będzie... prosta przyzwoitość nie pozwala mi powtórzyć wyrazu, jakiego użył wtedy ten stetryczały brat mego nieboszczyka ojca. Tak, tak! wiem to dobrze, że prawie wszyscy panowie żonaci jęczą, stękają, narzekają.. a czyja w tem wina... co?.. Może żon?! Nigdy, — to są panie łaskawy, białe anielice, wonne kwiatuszki, które umajają nam życie i ułatwiają doczesną pielgrzymkę do Tworek... te... do raj... Eh, co tu będę komu tłumaczył, czem jest żona, kiedy widzę prawie samych żonaty, a wiadomo, że wszyscy żonaci są uprzedzeni do swoich żon... Oj, mężczyźni, mężczyźni! Jakże wy nie umiecie uszanować tych naszych najcenniejszych skarbów na ziemi! No bo zresztą, czy wy wiecie (*zwracam się w tej chwili wyłącznie do żonaty*), czy wy wiecie wogóle, co to jest żona? Niby krótkie słowo, zaledwie cztery litery — a jakie ol-

brzymie pojęcie! Żona, proszę ja pana, (*mówi z komicznym entuzjazmem i stara się ruchami uwypuklić słowa:*) o... żona!.. no, widzi pan dobrodziej; to właśnie żona znaczy!.. Bo panom się zdaje, że to niby wzięść ślub, pojechać kareta do swego nowego gniazdka i porada skończona!.. Ho, ho!.. panie dobrodziej, to tak nie idzie! Trzeba żonę ubóstwiać, przedewszystkiem ubóstwiać na każdym kroku; czy to panie, wtedy — kiedy się myje, czy idzie na targ za Żelazną Bramę, czy kiedy śpi, je, pije, krzyczy... zawsze, zawsze, na każdym kroku trzeba ją ścisnąć, pieścić, całować, jak ja ciągle to robię teraz z moją Klocią... o, wtedy zobaczycie panowie, czy małżeństwo nie będzie się do was uśmiechać, jak księżyc do pijaka... A wy, żonaci, co?.. Droczyście się z waszymi kochanemi paniami, męczycie je o byle drobiazg, o źdźbło, tyranizujecie, jak swoje niewolnice! To panie łaskawy, dobre u Turków, u Indusów, Dahomejczyków, ale my, my, mężczyźni cywilizowani, postępowi, winniśmy widzieć w naszych żonach jedynie ziemskie bóstwa, zesłane na ten padoł zgrzytania zębami na naszą wyłączną radość i uciechę... No, bo tak, zważywszy dobrze, niech mi który z panów powie na ten przykład, co one, te nieszczęśliwe ofiary, mają od nas w ogóle?.. Co my im dajemy?.. Nic! zupełnie nic... Sami zaś wyciągamy do nich łapy, jak dziady pod kościołem do dewotek, a gdy już,

panie, uzyskamy to, o co nam szło, odwracamy się grzecznie na pięcie i mówimy:—Pisz pani miejską pocztą na Berdyczów!—Naprzykład, moja Klocia. Co to za ideał kobiecości, co to za anioł dobroci, co to za święta naiwność! Skubnie się to w łokieć, panie, to tu, to owdzie, to wyżej, to niżej i pan myślisz, że ona się kiedy zagniewa? Nigdy!.. jak mi Bóg miły, nigdy! czasem to się sam dziwię, że niby taka tolerantka, bo inna, toby panie, co najmniej trzepnęła przez łapę, a ta nie! Bo już takie ma serce złote, ta moja kochana! Nieraz to, panie, przyjdzie do państwa Korkiewiczów, niby do rodziców Kłoci, znajomy ich, pan Hipolit, urzędnik z telegrafu... podkochiwał się w Kłoci, nawet mówi, że mocno, ale ja się temu nie dziwię, no i co państwo myślicie może, że Klocia traktuje go z góry, że go uważa za niepotrzebny sprzęt... uchowaj Boże, taka słodka jest dla niego, bo mówi: — Wiesz, kotku, ty jesteś domowy, a on gość, więc mu się większe względy należą... — O, to jest panie łaskawy, takt kobiecy, szlachetność duszy, gościnność, uprzejmość, dobroć i elegancja!.. A ja co?.. Może myślicie, panowie, że robię scenę zazdrości? Kpiny! To się po mnie nigdy nie pokaze! Przez wiarę w niewiastę — droga do raj, to powinno być właśnie dewizą wszystkich mężczyzn! Co do mnie, nie jestem w ogóle zwolennikiem pęt, jakie warszawscy mężowie nakładają na swoje biedne żony i nawet cieszą się, że znalazły się

nareszcie te... jak im tam... aha... feministki, które gwałtem pragną nałożyć mężczyznom kaganiec! Dobrze zrobią, niech im zamkną jadaczkę na siedem spustów, to się może nauczą cenić i szanować tę koronę boskiego tworu... czekajcie, panowie, niedługo, a będziecie mieli założone na karkach obroże, zaś niektóre damy jedynie z łaski i z przyrodzonej dobroci serca ciągnąć was będą za sobą na sznurku, dając od czasu do czasu kawałek piernika do zgryzienia... Żałuję w tej chwili, że nie jestem kobietą, byłbym im w tem dziele setnie dopomógł, bo one biedaczki (*mówi żalownym tonem*) już od Ewy począwszy, pędzą marnie swój znikomy żywot w zamian za niewyczerpane beczki rozkoszy, jakie, podług kalendarza wyznania możeszowego, już od kilku tysięcy lat wytaczają przed męzkim rodem.. Niechaj Kalibanami zostaną... ci mężczyźni, którzy swoim okrutnym postępowaniem psują nam kredyt moralny u kobiet... Ja mojej Kłoci zostawiam wszelką swobodę działania... Będziemy sobie po ślubie przyjaciółmi, życie przejdzie nam na pocałunkach, na wiecznej miłości, która płonąć będzie w naszym stadle, jak pożar w małym miasteczku, gdzie nie ma ochotniczej straży.. O, ja jej nie pozwolę kłaść tych białych, cudnych rączek w kanale gospodarskich mętów, to my mężczyźni jesteśmy od tego abyśmy byli na wszelkich posługach u kobiet... Będę więc po ślubie doglądał garnków ku-

chennych, będę układał z kucharką *menu* obiadowe, będę cerował na szklance, jeżeli zajdzie tego potrzeba, będę karmił własne... nie, tego już nie zrobię, bo nie mogę.. a Klocia będzie się tylko patrzeć i podziwiać swego kochającego mężusia... Co to będzie za piękny obrazek!.. (*do jednego z panów*) Pan dobrodziej raczysz się znowu uśmiechać z pod wąsa... (*nastawia ucha, jakby przysłuchiwał się*) Co, co?... Pan mówi: „nawny?” Ho, ho! panie łaskawy, nie pierwszy raz słyszę to słowo, ale ono mnie nie detonuje, ani na zmianę moich zasad nie wpłynie ani na jotę!.. Ja, panie, jestem dziś przyjacielem kobiet i gdyby moja Klocia była pańską narzeczoną, byłbyś pan nim także! Panie — bo ja kocham, jak Boga kocham, — kocham, kocham, kocham... Czy pan wie, co to znaczy być narzeczoną?... a, prawda, pan był nim także, ale panie, ja mam wyjątkową narzeczoną!.. Takiej Kloci pan nie znajdziesz w żadnym handlu galanteryjnym... co ja mówię, w żadnym kraju, zarówno na stałym kontynencie, jak i na wyspie... panie, to jest kobieta, która potrafilaby opętać samego Belzebuba a z sułtana toby mogła uczynić parobka do nadziewania parowych kielbasek... Taką ma moc kobiecą, panie dobrodzieju, że człowiek formalnie głupieje... Jestem więc jak człowiek, którego czar miłości owionął od najmniejszego odciska do samego wierzchołka łysiny!.. I gdyby nie Klocia, przestałbym istnieć

na świecie jak wyścigi, pozbawione totalizatora... (*przypomina sobie, że trzyma list w ręce*) Ach, ten list, ten list... a może to co pilnego i trzeba zaraz odpowiedzieć... przeczytajmy (*czyta*) — „Panie! jako szczerze życzliwa panu osoba, ostrzegam go, iż panna Klotylda Korkiewiczówna to znana w Warszawie bała... bała... mutka i nic dobrego... Ona ma już za sobą przeszłość, a jaką będzie pańska z nią przyszłość, niech się pan spyta... pana Hipolita... — Boże... co to jest? Sen czy jawa? ! Nieszczęście czy tylko złudzenie?!... Niech się pan spyta pana Hipolita!.. (*z rozpaczą*) O kobiety! — O, nędzne stworzenia, o, marne jaszczurki, o czarne djablice... za chwilę dowiemy się całej prawdy i jeżeli to nie jest (*ukazuje na list*) nędzny paszkwil, wypowiadam wam najstraszniejszą walkę, jaką tylko zmaltretowany przez kobietę mężczyzna wytoczyć może... Będę was gnębił do ostatka sił moich... razem z tym panem, co to się tak uśmiechał ciągle do mnie z pod wąsa... Panie, niech pan tu na mnie zaczeka, ja będę pana potrzebował... ja będę miał do pana interes... (*wybiega z estrady*).

~~~~~  
**PALI SIĘ.**  
~~~~~

— Pali się! Gore! Pomocy!
Tam cały ginie dobytek!...

— A co tam wrzeszczysz po nocy,
Kładź że się spać lepiej Witek...
— Lecz mówię ci, że się pali!...
— Co mówisz? Pali!... O, Boże!...
Serce mi jak młotem wali...
Czy nie u radcostwa może?!
— E, nie! Płomienie budynek
Cały objęły. Tłum ludzi
Gwałtem się ciśnie przez rynek...
— We mnie straszna myśl się budzi,
Że u mecenasów może?...
— Ach, skądże! — Więc gdzie się pali? —
— W chłopskiej chałupie, mój Boże... —
— Eh, — — djabliż nadalil!...

SIELANKA.

Zoczył ją w cieniu
Lip i kasztanów,
Na tle murawy
I kwiecica lanów...
Więc krok przybliżył,
Śląc uśmiech słodki
I sunął do niej
Jak kot do kotki..
A potem spytał,
Głaszcząc wąsika,
Czemu zawdzięcza —
Że ją spotyka?...

Czy ma rodziców?
Gdzie spędzi lato?
Czy się nie nudzi?...
Ona... nic na to...
Więc ośmielony,
Szepcze do uszka
Rozkoszne słówka
W sprawie... serduszka...
I choć ją mami,
Ona wciąż słucha,
Albowiem była —
Mój Boże — głucha!

PAN NIEŚMIAŁOWSKI

(Wchodzi powoli, ściąga rękawiczkę, ruchy ma niepewne, naiwnie uśmiechnięty; mówi):

Doprawdy, straciłem na razie odwagę... (*rozgląda się po sali*). Tyle osób, mój Boże, tyle osób!.. (*mówi zwolna rozglądając się ciągle*). A pań, co tu pań!... A ja właśnie posiadam tę małą wadę, że wobec kobiet tracę cały rezon! Uhm... Ileż tu dam, ileż dam... aż mi gorąco, doprawdy! (*po ch.*) Moja gospodyni Janowa... pocziwa Janowa, szykując mi trak, właśnie radziła: — A siedź pan w domu, kiedy się tak bab lękasz... co to to wilka... psia para... z lasu ciągnąć! A o wypadek nie trudno — (*jakby do siebie*). Naiwna... przecież ja się kobiet nie lękam, tylko jestem wobec nich trochę nieśmiały, ale ja się z tem otrzaskam, bo to—proszę państwa w naszej rodzinie dziedziczne... Mój dziadek, na przykład, strasznie się kobiet lękał, to też się nigdy nie ożenił.. (*sposprzegłszy się*). Nie, przepraszam bardzo ożenił się i to nawet z moją rodzoną babką, ale już w bardzo późnym wieku, o! — bo potem nabrał do kobiet odwagi! U nas wszyscy w rodzinie byli tacy. Do tańca i do różańca (*z komicznem zacięciem*) do wybitki i do wypitki, a wobec kobiet — zdecht pies! Co do mnie przyznać się muszę, lubię niewiasty, nawet, że się tak wyrażę, bardzo je lubię, ale zdaleka, proszę

państwa, na odległość, na dystans... Zbliżka trup, ma się rozumieć — ja, a nie ona... Boże wielki, co ja bym dał za to, ażeby nabrać do kobiet większej odwagi!... Próbowałem już nawet lekcyi tańca, ale szło mi to tak niezręcznie, że zawsze... damę przewracał! Przytem muszę państwa upewnić o mojej niemuzykalności, to też nigdy nie wiem, kiedy zacząć od taktu!.. Postanowiłem więc dać pokój z experymentami tancerskimi, zwłaszcza po ostatnim wypadku... Było to na balu u państwa Wzdychalskich. Balowa atmosfera, szum trenów, granie wachlarzy, czar, jaki wionął od każdej z dam — upajały mnie!... A przytem — ta pan-na Klocia! Boże, co to za kobieta! Ileż w niej uroku, nie dającej się opisać słodyczy, a jaki ma... pieprzyk!... aaa!... Stałem od niej na odległości kilkudziesięciu kroków, a drżałem jednak, jak liść osiny, bo czyż państwo rozumiecie, co to jest wielbić kobietę miłością Platona. Serce pod klapą fraka biło jak zegar na ratuszu, a oczy skromnie opuściłem w dół i pożerałem niemi (*z westchnieniem*) misterny czworokąt na balowej posadce! Nie śmiałem podnieść na nią wzroku, by nie profanować nim tego nadziemskiego zjawiska, gdy wtem muzyka grać zaczęła i w chwili kiedy pierwsze pary puściły się w wir zabawy, ona spojrziała na mnie... (*entuzjastycznie*) Lodowce oceanów stopiły by się pod tem spojrzeniem, niebotyczne wzgórza Himalajów stoczyłyby się na dno

przepaści, w kamień zaklęte twory w proch by się rozsypały, a ja... ja... runąłem, jak długi — na podłogę... (*do słuchaczy*). Tak, tak, to wcale nie jest śmieszne, jak sądzę, a zwłaszcza dla tych, którzy takim okrucieństwom losowym ulegają! (*po chw.*). Przepraszam bardzo, ale czy który z panów próbował kiedy upaść na balowej posadce?... A jakie to uczucie... brrr... W sali jakby na dane hasło, powstał szmer, który mnie dobijał na przestrzeni... pomiędzy oknem a piecem...

— Panie Nepomucenie, kochany panie Nepomucenie, co się z panem stało? pytano mnie zewsząd, a panie utworzyły z siebie precudny wianeczek i otoczyły nim moją osobę, która wyciągnięta na podłodze w stanie mocno opłakany, doświadczała męczarni Hioba. Miła sytuacja — nieprawdaż?... Cóż miałem wyrzec, nieszczęsny? — Nic, nic — piękne panie! wyszeptalem. Chciałem tylko (*jąka się*) spróbować walca na dwa *pas!* — Jakto, tak *solo*, bez damy?... A proś-że pan damę, i pokaż co umiesz!... — Świetna myśl! zawołałem w duszy — oto nastęcza się pole do rehabilitacji!... (*zawiedzionym tonem; po chw.*) I któż mógł przypuścić, że ta zacna tendencja stanie się raczej przyczyną nowej katastrofy, stokroć gorszej, stokroć smutniejszej w następstwach! Kiedym poczuł nakoniec grunt pod nogami, śmielszem okiem spojrziałem w koło siebie i tej-że chwili spostrzegłem pannę Klocię, a w spojrzeniu jej było tyle serdecz-

nej zachęty, było tyle — że tak powiem — niemego współbolewania, żem nie zastanawiając się ani chwili jednej, poprosił ją do tańca! O, Janowo! czemuż twój duch opatrnościowy nie czuwał wtedy nademną, a wy, z piekła rodem chochliki, czemuż mnie tego wieczoru uczyniliście swoim wybrańcem?... (z *rezygnacją*) Ha! stało się!... Ja wykszusiłem „czy mogę się ośmielić?“ ona uśmiezkim swym dała mi przedsmak nieba, czem wzruszony widocznie po nad miarę, zamiast objąć ją za kibić, pozwoiliem sobie przeskoczyć o piętro wyżej i objąłem ją... za szyję!... — „Panie, pan jesteś niemożliwym!“ — huknął mi w tej chwili nad uchem przedarty bas, należący do papy panny Kłoci. — Ależ panie szanowny... przysięgam!... miałem najlepsze intencje!... — Obejmować kogoś za szyję! Ładne mi intencje!... — Ja pana znam, pan jesteś lis! .. — Co, ja lis?... (z *komiczną grozą*) O, tego to już za wiele, łaskawy panie! Właśnie, że... ja... nie jestem lis!... — Lis, panu mówię, do stu par butów i basta!... Przytem bisurman, panie dobrodzieju, zawadyaka, don Juan, zwodziciel panien, łys na łbie a pusto w środku!... (odpocząwszy) Pasja mnie wzięła, śmiertelna pasja i byłbym mu z pewnością coś na to odpowiedział, ale wiedziałem oddawna, że biedak cierpi na astmę i jest skłonny do ataków apoplektycznych, więc to mu mogło zaszkodzić. A przytem, miałem wzgląd na nią (*tonem płacziwym*) która, jak mi później

mówiono, nazwała mnie... niedołągą, fajtłapą, fuszerelem, nieokrzesanym gburem!... Ja — gburem, proszę państwa! Ja, który marnem słówkiem nikogo w życiu nie dotknąłem, ja który przechodniom ustępuję z drogi!... Ha, stało się! Ustąpiłem z placu, w towarzystwach, po tym skandalu nazwano mnie niebezpiecznym, Kłocia wyszła za męża za właściciela dorożek i ma już troje dzieci (*po chw.*) Ale po co ja to wszystko państwu opowiadam i co kogo mogą obchodzić losy takiego mazgaja jak ja? Niech mi państwo tego za złe nie biorą, ja tu przyszedłem dla tego, ażeby się trochę otrząsać z damami, (*tkliwie*) ale jak sobie tylko przypomnę tę historję u państwa Wzdychalskich na balu, to mi się gwałtem na płacz zbiera... (*zanosząc się od płaczu, odchodzi*).

~~~~~  
**Z I Ę Ć.**

(Szybko wbiega na estradę jakby gnany przez kogoś, mówi):

Ot — i nowa scena! Te baby chcą, abym im potakiwał, że słońce świeci, kiedy jest noc kompletna... — Białe — mówię im z najgłębszem przekonaniem — patrzcie, kobiety, białe jak śnieg, jak arkusz niezapisanego papieru!... nie... one mi gwałtem wmawiają, że jest czarne, jak sadze!... No, i poradź-że tu, biedny męczenniku, mający

w rynsztunku żonę i teściową! Ot teraz — przed chwilą, narobiły mi takiej chryi, że aż tu schronić się musiałem... (*p. ch.*). I o co? pytam... o to, może, że należę do najbardziej upośledzonych jednostek na globie ziemskim, że na obiad mam kwasy, że w każdej chwilec dnia czuję na sobie cały ciężar tych kajdanów, jakie dźwigam (*z westchnieniem*) od lat dziesięciu... Bo proszę sobie wyobrazić na przykład taką scenkę... Zmęczony, zgorzkniały, zgłodniały, wracam dziś z biura do domu, spragniony widoku żony?... nie!... tego obiadu, z racyi którego znajduję się aż tu pomiędzy wami... — Phii... już przyszedłeś? tak wcześnie? zwykle wracasz na obiad później!...—

Aha! pewnie ziemniaki jeszcze się nie ugotowały, a pieczeń musi być twarda!... Zwykła taktyka mojej żony, popierana z całą gorliwością przez jej matkę... A gdy się nieraz spóźnię istotnie—gwałt, lament, pioruny w powietrzu!... (*naśladowując*) Marnotrawca jesteś — mówią mi te anioły — pieniądze tracisz na mieście, a obiad w domu stygnie, potem go nie jesz i masz jeszcze pretensję... No, proszę państwa, jak tu można nie mieć do żony pretensji, jeżeli mi dziś, na przykład, dają na obiad—pieczeń przypaloną, przytem twardą jak podeszew, na zupę najzwyczajniejszą lurę, jaką w restauracji wylałbym na głowę garsonowi, ziemniaki nieugotowane, a sztukę mięsa tak mdłą jakby ją olejkim emetykowym przyprawio-

no... Ostatecznie — głodny jestem, i żywego człowieka połknąłbym z przyjemnością, więc duszę się kartoflami i z hiobową męczarnią łykam tę pieczeń, ale po co mnie drażnić jeszcze takimi zapytaniami... „No cóż, jakże ci smakuje?... kontent jesteś z obiadu... patrz, to mama sama gotowała... czy aby potrafisz być jej wdzięcznym!...“ — Oh, jakże ja jej za ten obiad byłem wdzięczny!... Połknąłbym ją z pewnością chętniej, niż wszystkie jej obiady!... (*p. ch.*) Naturalnie, że poczęstowany takim deserem, zrobiłem minę człowieka, który ma chętkę wyskoczyć bodaj z trzeciego piętra i wpaść do pierwszej lepszej knajpki na kawalek mięsa, by nasycić zgłodniały żołądek...

— „Co krzywisz się?... może ci znów nie smakowało?...“—

— „Owszem duszko, ale uważam tylko, że ten rosół... jakoś nie bardzo...“ —

— „Co! takiego! Rosół nie bardzo! Słyszała mama!... Oto mama ma jego podziękowanie!... — Naturalnie, że mama za to podziękowanie, podsycona nadto przez córkę, zrobiła taką minę jakby miała szczerą chęć wlać mi przemocą do gardła jeszcze dwie wazy takiego samego rosółu... Czuję burzę w powietrzu, ale licho wie skąd i jak—zasmakował mi ni ztąd ni zowąd zapach prochu i zapragnąłem gorączkowo walki! Niech się tam co chce stanie—wszystko mi już jedno, a przecież lury na obiad mieć nie chcę! Raz kozie śmierć!..

Skurczyłem się, co prawda, ze strachu w pałak, ale na pohańbienie gospodarsko kulinarnej tradycji mojej teściowej żony, zawołałem: i rosółowa była nic nie warta, i ziemniaki i drugie mięso — i cały obiad zresztą, zamiast mnie go podawać, można było wyrzucić na podwórko!... (*p. ch. z ulgą*) Ha! strzały puszczone, ładunek stał się lżejszym, teraz oczekiwałem tylko ataku odpornego... (*p. ch.*) Ale kobiety mają lżejszą od nas broń, i skuteczniejszą, a właściwiej... wzruszającą!... (*do jednego ze słuchaczy*) Na pogrzebie żadnego cadyka nie usłyszysz pan takiego przerażającego płaczu, jakim te dwie kobiety wybuchnęły!... Podziwiałem po prostu tę siłę i wytrzymałość, chociaż, przyznam się panu dobrodziejowi, że dopiero poraz pierwszy słyszałem lament dwóch niewiast, które się spiknęły przeciwko jednemu mężczyźnie... A jaki grad czułych słówek sypał się pod moim adresem na tle tego płaczu!... Można było zwarjować! Wiedziałem, że lada chwila nastąpią spazmy, bo to także należy do... ceremonjału, a że nie jestem majstrem od odpinania staników damskich, przeto czynność tę poruczyłem służącej, sam zaś szczęśliwie czmychnąłem... Jestem przekonany, że spostrzegłszy moją rejteradę, natychmiast przyszły zupełnie do przytomności, choć przedtem topiły się całe we łzach... Oto słodycz małżeńskiego żywota... Ha, dobrze mi tak, powinienem przeczuć, że tak będzie!... Słodko... słodko... a potem gorzko...

A wszystkiemu ona winna, ona... jej matka!... Buntuje ją po całych dniach... Licho mi kazało zamieszkać przy teściach... Zresztą, któż mógł wiedzieć?... Gdyby nie ta przeklęta lornetka!... (*do publiczności*). Jakto, państwo nie wiecie, jak się to stało?... Spadła mi z wysokości drugiego piętra na sam czubek nosa, poczem zawadziła o kant krzeselka, a wreszcie, spoczęła na podłodze z wielkim hałasem, poruszając całe audytorjum w Rozmaitościach... Wyniosłem z tej pielgrzymki perspektywy optycznej, okropny przestrach, a co gorsze, nos srodze pokiereszowany. Że jednak w najdrastyczniejszych nawet chwilach nie przestaję być dżentelmenem i grzecznym dla dam, przeto nie zwlekając aż do opuszczenia kurtyny, udałem się wraz z nadtłuczoną lornetką na drugie piętro, do łoży № 13 (*z westchn.*). Tak, to był № 13... — Ach, przepraszamy stokrotnie... szanownego Pana dobrodziej!... — Ach, mon Dieu, ja też... jakież okropny wypadek... mimo naszej woli!...

Jańciu, patrz jaki pan uprzejmy... moja córeczka... mężu, przedstaw się panu... — A no, poznałem, odwiedziłem raz i drugi i nie przeczuwałem bynajmniej katastrofy, jaka nastąpiła... w pierwszy dzień Wielkiej Nocy... Pamiętny dla mnie dzień!... Nic mi się tego dnia nigdy nie szczęści... Trzeba jednak przyznać, że moi teściowie byli bardzo gościnni...

--- Panie Józefie kochany!... do pana... niech tam!...

— Zdrowie pana dobrodzieja... — Aa, proszę pana, to nieładnie... pić i nic nie jeść!... Niechże pan będzie łaskaw kawałeczek... o, proszę pana... Jańciu, a zaprezentuj panu babkę, którą sama piekłaś... — Dziękuję państwu serdecznie, ale już więcej nie mogę!... — Co tam dobrodziej pleciesz—nie możesz! Przecież nie odmówisz prośbie, któregoż żona własną ręką nadziewała!...—Doskonały, panie dobrodzieju, ale już jestem syty...—Syty... syty!... Wy, młodzi, wszyscy jesteście syści!... Trujecie się, panie dobrodzieju, po restauracjach, a w czemś dobrem nie smakujecie!... Oj, to kawalerskie życie!... Wszyscyście jednacy... do wszystkiego zdadni, od żony—myk!... Cóż, ja—panie dobrodzieju — chałupę mam niczego... front panie tego... dwie oficyny, jak mur panie tego, a sam już do niczego... Wierz mi, panie Józefie, suchoty, czy tam skłonność do jakichś ataków!... — Ee, żarty chyba, pan dobrodziej zdrow jak rydz!... — Co, ja zdrow?... Śmieję się waści... Umrę lada dzień... żony się spytaj!... I komu to, Boże się zlituj, zostanie!... (*mówi żałośnie*) Chałupa murowana, czyściuteńka jak szkło, a folwark za miastem... jak łąza, a listów trochę... A tu dziewczyna w domu jak łania... panie dobrodzieju... skarby prawdziwe!...—Istotnie, istotnie... panna Janina jest bardzo...—Prawda, co?... Żono! Balbisiu!... Pan Józef

właśnie unosi się nad naszą córeczką... (*z west.*) Za daleko się, niestety, uniosłem widocznie, i dziś znoszę zasłużoną karę... Liczyłem przynajmniej, że teść kłapnie w krótkich abugach, ale gdzie tam!... zdrow jak ryba i pewnie mnie przetrzyma... (*odchodzi; po chwili wraca*) A ta chałupa, o której mi tyle naopowiadał — torby sieczki nie warta! Lokatorzy w tym domu mają sobie za punkt honoru nie płacić komornego, gotówka — w jakiś niewidzialny sposób ulotniła się z kasy, a folwark — niestety — przeniósł się na księżyc... (*odchodzi*).

### MONOLOG Z KOZŁA.

Tutaj we Warszawie je stagnajca, jako że wedle mody u wielkiego pajństwa całki naród jądzie za rogatki, niby dla wzmocnienia wątroby albo jenszego feleru. Ostały się jedno na ten przykład ludzie żeniatne, jako że baby powysyłali do szwabów na luft. Te ludzie żeniatne to bardzo drobnoczynny naród je, bo to ci rodzonemu pożałuje, a cudzemu wepchnie z całego serca wszystko co jeno wlezie. W naszym domu też miészka na trzecim piętrze jeden pan żeniatny, żonę i dzieciaków mający, który ostał się nieboraczek sam jeden na świecie jak ten palec, bo babę z bachorami odstawił na letkie pomieszkanie kiele Wawra, aby tam ją komary pogryzły i pia-

chu se dowoli natykała. Ten ci człek żeniatny sam żyć nie może, bo juz widać ma takie miętkie serce, więc jak ci się jeno krzynę ściemni, zaro z pomieszkania swojego wyłazi, niby żeby w porządnej kompanji smutek swój szczery utopić. Musi to kompanija poczciwa, bo dawniej bywało, że ten człek żeniatny, kiej żona i dzieciaki byli w pomieszkanju, to ci ciągiem chodził ze łbem zwieszonym niby nie przymierzający jak moja lysa, która się ochwaciła, garderoba to ci na nim była całkiem jak psu z gęby wydarta, a wyglądał zawdy biedacek, jakby sto djabłów polknął. Tera ci się wszycko na nim odmieniło, jak ręką odjął. Jak z domu na ulicę wyjadzie, to łeb do góry zadrze, garnitur se sprawił kraciasty w pański, na nogi nałożył żółte lakiery, a tak ci od niego perfonami zalatuje, jakby służywał w mydlarskim sklepiku albo se najadł salcesonu z czosnkiem! Stojąłem we ćwiartek przy Letniaku na pasażerów z teatru czekający i krzynem się jeno zdrzymnął, ale w tem moment skończyło się i pasażyr się trafił, który sturgnąwszy me w łokieć, powiada: — Jadź, brachu, do Sialanki! — Spojrzałem sie na pasażera i w ten dycht poznałem onego żeniatego z mojej kamienicy. Nie był nieboracek sam, jeno pod pachę trzymał niewiastę aligatną, pewnikiem krewniaczkę, miarkuje se, bo ci się jej jeno w ślipie patrzył i po palicach niby matkę rodzoną całował. Na samem Nowem Świe-

cie musiałem przystoić, bo mnie stojący chciał zapisować wedle latarki zgaśnięcia, niechcący też obejrzałem się na poduszki i mało me gały na wierzch nie wylezli. Bo co wy na to powieta, moje państwo kochane, że ta krewniaczka to czysta Jula, jak dzieciaków rodzonych miłuje, przecie znam ją nie od dziś, bo po ulicach latająca je, a dopiero jak aligancki naród z Warsiawy wyjadzie gdzie się patrzy, to dla niej żniwo, bo wtedy słomiane wdowce ostają. Ciekawość chyciła mnie okrutna, coby taki pan porządny z taką Julą miał do czynienia, więc jeno słucham co gadają i tyła. Gdyśwa wyjechali w Ujazdowskie, mój pasażyr znajomy powiada: — Wisz pani co? Teraj po ciemku to nas niikt nie rozezna, siadaj me pani na kolanie, to ci bandzie miętko, aniołku! Na to ona Jula powiada: — Mylisz se pan, mój panie, ja nie jezdem z takich, jezdem wdowa nieszczęśliwa, jako mi męża zabrali do wojska! — Potem to ci mu ta Jula pokazała obrączkę niby ślubową, a ten lukatur z naszego domu wzion ją delikatnie za rękę i zaczon całować aż mi se szkapska postrachaly. Na to ona Jula powiada: — Tak to można, jeno z ostrożna, bo jezdem skromna i mieszkam teraj przy ciotce! — A on ci na to ścisnął ją w pasie jeszcze mocniej i mówi: — Wisz, dziecko kochane, ja ciebie kocham pierwszy raz w mojem życiu! — A ona na to: — O la Boga! Przecie jesteś żeniatny, moje złoto! — Na to ten lukatur z na-



szygo domu powie: — Co tam, jako jezdem żeniatny! Mam żonę i dzieciaków, to prawda, ale mnie do tego zmusili, to się nie rachuje! Ja ci moje brylanty — powie — najmę pomieszkanie wpodle mojego, bandziesz sobie żyła jak hrabina, niczegoj ci nie pożałuje! — To ta Jula przysiadła mu se teraj na drugim kolanie i powie: — Ja wiem, mój kotku, że ty dobry chłopaczek jeźdes i jabym za ciebie w ogień, wodę poleciała ale ja się ciebie boję, bo ja jezdem skromna, a ty mnie możesz unieszczęśliwić! Co ja bym potem poczęła?—Jak to mój znajomy lukator z naszego domu usłyszał, zaraj ci zaczon płakać jak dziecko na świat przychodzące i powie: — Jabym ci miał krzywde jaką przyczynić, moje ty kochanie jedyne? Nic się nie bój, aniołku złoty, bo jabym dla ciebie kazał sobie kawał mięsa urąbać! Ja ciebie bandę szanował, jeno bańdz moją! — Na to Jula ona mówi mu niby z wielkiego kochania: — Ach, ty mój blondynku, ty złodzieju jeden! i przytknęła mu twarz do gęby. Potem zajechaliśwa przed Sielankę i już nie wiem, co dalej było, jedno miarkuję se, że te wdowcy słomkowe to zacny i drobnoczynny naród je, kiej się takimi samotnemi Julami zajmają, na które inszy człek toby i spojrzeć nie chciał.

## PAN FEINMESSER—MEBLARZ.

(Jegomość w długim surducie, na twarzy pocieszny grymas zniechęcenia i gniewu; mówi z początku wolno, urywanie, potem zapala się coraz bardziej).

Całego świata potrzebuje meble. I ten chce mebel i tamten chce mebel i każdy chce mebel. Pan Feinmesser mebel na prawo, pan Feinmesser mebel na lewo i ja wszędzie wstawię mebel, bardzo porządny mebel, ale jak ja przychodzę po pieniądze za mebel, to każdy potrzebuje powiedzieć: Panie Feinmesser, przyjdź pan jutro, albo za dwa godziny albo za półtora miesiąca albo za dwa kwartały. Każdy to chce być w swoje mieszkanie jak ten hrabia, co chce takie łóżko, coby się na nim mógł rozwalić jak ten książę, on chce mieć stolik, coby on na nim mógł sobie pokrajać, on chce mieć umywalkę, coby sobie mógł zrobić czysty na święto, ale jak przychodzi do płacenia raty, to każdy kiwa z głową i powie, że ciężki czas jest. Od ludzkiego płacenia to ja już dostałem waryacyi w głowie, a wczoraj to ja się chciałem rzucić z nogami z trzeciego piętra na ziemię, bo ja mam waryacye przez tego pan Kokoszewski. Państwo jemu muszą znać. On jest śpiewak w operze. Ja na niego mam może czterdzieści wyroki. On nie chce płacić! Nawet za jeden kawałek mebel to on nie chce płacić. To czysty zbój jest, ten Koko-

szewski, jak ja mówię zapłać pan, co pan jest winien, to on weźmie i rzuci się z nożem. Ja jemu spotkałem na ulicy i powiedziałem jemu, co ja jego wsadzę do kryminału, jak on mi nie zapłaci moje raty, to on mi napisał list, ten łobuz, cobym ja do niego przyszedł. Pan wiesz, co on robi jak ja do niego przychodzę? On bierze i zamknie drzwi z kluczem, rzuci na podłogę ten porcelanowy fajans, robi duży hałas i zawoła te dziewczkę z kuchni i mówi do niej: Widzisz, Maryanna, ten żyd tu przyszedł, narobił skandalu i rozbił całe meblowanie!—Taki łobuz to jest. To mnie wezmą i wsadzą do więzienia na dwa tygodnie. To wiesz pan, co ja jemu napisałem? Ja jemu napisałem: jeżeli ty masz na mnie interes, to ty przychodź do cukierni, ty łobuz, to jak ty przyjdiesz do cukierni, to ja się za ciebie nie boję, bo jak ty mnie ruszysz z palcem, to ja zaraz zawołam dwa stójkowe i każe napisać protokołu. On myśli, co ja frajer jestem. Jak ja jemu to napisałem, to on przyleczy do mnie i krzyczy, co było słuchać na całe podwórko: — Panie Fajnmesser, pan wiesz, kto ja jestem? Ja jestem śpiewak! — Owa, ja jemu mówię, ja się pana nie boję? Co pan za figura dla mnie jest? Pan śpiewak jest? To pan wiesz, panie Kokoszewski, co ja mogę z panem zrobić, jak pan śpiewak jest? Ja mogę przyjąć do teatru, przyprowadzić ze sobą pięć albo dziesięć złodzieje i jak pan będzie śpiewać, to oni zrobią

*(kładzie palce w usta)* paf... pif... i już! No, co pan wtedy zrobi ze swoim śpiewaniem?—To on się zrobił cały złoty, jak ta czekolada, jak ja jemu to powiedziałem. Pan myśli, co on tylko mnie za meble nie potrzebuje zapłacić? On swojej żonie też nie daje pieniędzy na utrzymanie. On jej daje może pół rubel najwyżej. To ona — mówię panu — jest taka chuda, jak ta kura! Bo z jakiego sposobu ona może być gruba, kiedy ten Kokoszewski, jej mąż, daje jej pół rubel na utrzymanie? Ja mojej żonie daję rubel i pięćdziesiąt kop., na utrzymanie, to ona się ledwo trzyma z nogami na podłogę, taka ona gruba jest. No, niech państwo powiedzą, jakim sposobem można komu wstawić meble na raty, jak taki Kokoszewski nie tylko nie płaci, ale leci z nożem na człowieka, jak ten wilk albo inny dziki pies.

~~~~~  
D O N Ż U A N .
~~~~~

MONOLOG.

*(Jęgomość wyblakły, z łysą głową; monokl w oku. Wchodzi na estradę w paltocie, z laską w ręce; rozgląda się bacznie po sali; mówi):* — Ona tu musi być bezwarunkowo... siedzi w krzesłach... dałbym szyję na to, że tu jest... Chodzę za nią już od czterech godzin i widziałem najwy-

rażniej, jak tu weszła na schody, więc musi być w tej sali. Pikantna kobieta, niech jej nie znam! Co za buzia! — palce lizać, a jaka nóża—delicje! Ależ mnie zmęczyła, niech jej tego niebo nie pamięta! Zmachalem się, jak pies! Muszę trochę odpocząć, bo inaczej, czuję że padnę! (*stawia cylinder i łaskę na stole, siada na krzeselku i obciera pot z czoła*). Szedłem sobie najspokojniej Nowym-Światem, bo dałem słowo honoru pewnej ładnej dziewczynie, że się z nią zobaczę u Bliklego, aż tu patrzę: idzie wspaniała niewiasta! Ma się rozumieć—wałę za nią! Co państwo chcecie: póki się jest młodym i ma się jeszcze trochę ognia w łonie, trzeba się uganiać za ładnymi kobietami! To trudno—młodość ma swoje prawa! Co prawda, mama mi ciągle kładzie w ucho: Kaziu, w twoim wieku powinienes mieć żonę i przynajmniej czworo dzieci! Jak ty to życie marnujesz! Czemu sobie jakiej pocziwej żony nie wynajdziesz?! No, moi państwo, przedewszystkiem ja jeszcze mam czas... no, czy nie mam czasu? A następnie, proszę mi powiedzieć, jak tu się ożenić z jedną, kiedy jest tyle ładnych kobiet na świecie! Co ja bym zrobił z jedną kobietą? Mnie potrzeba masy kobiet, całego miliona kobiet i do tego ładnych kobiet, no bo co warta kobieta brzydka? Brzydka kobieta jest tak, jak dajmy na to rondel. Używa się go, co prawda, nawet codziennie, ale się go nikomu nie pokazuje... Trzyma go się w kuchni! A ja lubię

z kobietą pójść na spacer, pokazać ją ludziom, no, jednym słowem, chcę być dumnym z kobiety, a kobieta, z której ja mógłbym być dumnym, musi być koniecznie ładną. Otóż idę sobie najspokojniej Nowym-Światem, a tu patrzę — wali ona! Powiadam państwu: zdębiałem! Kobieta — jak cukierek! Sunę, naturalnie, za nią, zachodzę zrećcznie z boczku, to ją wyprzedzam, to cofam się na tyły, jednym słowem, rekognoskuje teren, na którym mam działać... Bo trzeba państwu wiedzieć, że w atakowaniu kobiet wypada być koniecznie fachowcem! Uh, kto niezna tej sztuki, niech nigdy nie zaczepia kobiety, bo musowo wpadnie w kabałę! W tym względzie nic a nic nie znaczą osobiste kwalifikacje zaczepiającego, tu trzeba być koniecznie wytrawnym praktykiem, bo co taki praktyk uskuteczni na tem polu z powodzeniem, to fuszer ze psuje z miejsca. Po zatem niech mi państwo wierzą, iż niema szkodliwszych ludzi na świecie, jak właśnie ci fuszerzy, zabierający się do kobiet. Jeden mydli się, że aż nieprzyjemnie patrzeć, inny obiecuje złote góry, trzeci bierze na sakrament, czwarty powiada: pani jesteś najpiękniejszą kobietą na świecie, pani jesteś mojem marzeniem, żywem wcieleniem moich snów na jawie! a wszystko to razem uniemoralnia kobiety w wysokim stopniu i psuje je z oczywistą krzywdą dla sprawy fachowych praktyków! Prawdziwy amator pici pięknej i specjalista w sztuce robienia znajomości

z kobietą, nigdy w ten sposób nie zaczepi kobiety! Rutynowany praktyk, spostrzegłszy obcą kobietę, która mu się podoba, przedewszystkiem nigdy nie atakuje z miejsca. Cóż znowu! Uchowaj Boże! To jest najgorszy system! Rutynowany praktyk na tem polu działa zawsze podług swojej specjalnej metody, która niezmiernie rzadko zawodzi, a niemal zawsze prowadzi do celu! Ja, spotkawszy ładną kobietę na ulicy, robię do niej przedewszystkiem „oko“. Ale „oko“ a „oko“ — to dwie różne rzeczy. Jeden robi takie „oko“, że się kobieta oburzy albo splotczy, a drugi robi takie „oko“ że się kobieta mimowolnie uśmiechnie. Robić z powodzeniem „oko“ do kobiet mogą tylko praktycy wytrawni. Bo robić „oko“, to nie znaczy bynajmniej wylupić źrenice tak szeroko, żeby aż wychodziły z orbit, ale kompletne mistrzostwo fachu polega na tem właśnie, aby w tem „oku“ uwydatnić cały wyraz uczuć, jakie w danym momencie, na widok ładnej kobiety, zawładnęły osobnikiem męzkim, czyli jednym słowem, w przelotnem, dyskretnem spojrzeniu, nie uwłaczającym kobiecie, musi być wyrażony zachwyty mężczyzny. Niema po prostu takiej kobiety na świecie, dla którejby podobnie subtelne „oko“ nie stanowiło miłej siurpryzy, powtarzam jednak, że trzeba to uczynić niezwykle umiejętnie, inaczej bowiem „oko“ może spudłować, jak strzał na panewce albo też przeszarżować, co w kobiecie musi

obudzić pewien niesmak. Zrobiwszy umiejętnie „oko“, zachodzę moją ofiarę w sposób zręczny ze wszystkich stron, poczem cofam się znowu nieco i postępuję za nią tak, jak zupełnie obojętny gentleman. Pan szanowny uśmiecha się do brotliwie i mówi sobie o mnie w duszy: warjat! Chciałbym tedy wiedzieć, jaka jest metoda szanownego pana? Bo niech panu się nie zdaje, że kobieta nie widzi tego, że ja za nią zdążam z tyłu i że pilnie ją obserwuję! Ho, ho! Jeżeli pan szanowny tak przypuszcza, to pan nie zna kobiet! Taka nimfa, proszę pana, nietylko wszystko dobrze widzi, ale i czuje, kiedy na mężczyźnie robi pewne wrażenie. Niechno pan pochodzi trochę krok w krok za kobietą a zaobserwuje pan odrazu, że ona to dobrze spostrzega, iż pan ją ma na oku! Kiedy już jestem pewny, że ona mnie widzi, że ona wie, o co mi chodzi, wtedy... pan szanowny myśli, że ja do niej powiadam: czy mogę pani służyć parasolem?... O, nie, szanowny panie! To jest stara, zarzucona już metoda której się trzymają jedynie tandeciarze, pozbawieni indywidualności i polotu! Żaden szanujący się mężczyzna przy atakowaniu kobiety na ulicy, w czasach dzisiejszych z parasolem już nie wylazi! Propozycje parasolowe należą już do mytów, do dawno minionej przeszłości a kobieta, do której mężczyzna przystępuje z wiadomościem zapytaniem:—Czy mogę pani służyć parasolem? albo z czułym westchnieniem: — Ach, jaką

dzisiaj mamy piękną pogodę! — od razu widzi, że ma do czynienia z gilem. Z gilem! — niech mi pan wierzy, bo kobieta wie dobrze o tem, że prawdziwy mężczyzna w czasach dzisiejszych nie ima się już więcej takich naiwnych środków! Prawdziwy mężczyzna, spotkawszy kobietę, z którą pragnie zawrzeć znajomość, pozwala jej kilkadziesiąt kroków przejść samotnie, poczem równa się z nią i rozpoczyna swoją przemowę w jak najnaturalniejszy i najzwyczajniejszy sposób, a to przedewszystkiem dla tego, żeby nie obudzić podejrzeń w przechodniach, że się kobietę zaczepia. Idąc z kobietą w jednej linii i przemawiając do niej niedbale, bez czułości, obojętnie, dajemy przez to poznać, że towarzyszymy osobie znajomej. W ten sposób odwracamy od siebie uwagę ciekawych, co przy zaczepianiu kobiet jest rzeczą ważną, bo trzeba koniecznie pamiętać o tem, że niewiasta jest stworzeniem lęklivem, a przytem obawia się pozorów kompromitacyi. Przystępując do dzieła, zamiast wyszłego z użycia: — Czy mogę Pani służyć parasolem? — mówi się: Od dwóch lat śledzę już panią i napróżno poszukuję pani we wszystkich naszych salonach! — Niech szanowny Pan nie myśli, że to „od dwóch lat“ jest sobie takim bezmyślnym frazesem! O nie! Te „dwa lata“ muszą wywołać efekt, bo je wynalazła dokładna znajomość natury kobiecej. Niech pan zastanowi się chwilkę, a jeżeli zna kobiety choć trochę, to przyzna mi nie-

zawodnie, że powiedzieć obcej kobiecie „od dwóch lat jestem zajęty Panią, od dwóch lat pałam gorącą chęcią poznania Pani, od dwóch lat szukam Pani napróżno po świecie!...“ znaczy to samo, co wyznać jej: „Ty jedna tylko dla mnie istniejesz... prócz ciebie, nikt inny!“ Donżuan musi być koniecznie kawałem psychologa i, jako psycholog mówi właśnie „dwa lata“ a nie mniej lub więcej... Te „dwa lata“ stanowią uverture do opery. Kobieta, usłyszawszy, że mężczyzna szuka jej od dwóch lat, miotaną jest następującymi uczuciami: przedewszystkiem jest zaintrygowana mężczyzną, który myśli o niej przez dwa lata, a następnie pochlebia jej niezmiernie taka stałość w uwielbieniu. Ona sobie nie wyobraża ani na sekundę, że te „dwa lata“ wylęły się w umyśle wyrafinowanego spryciarza, który wie doskonale o tem, że jeżeli do kobiety wiele dróg i drózek prowadzi, to droga zręcznej intrygi jest zawsze pewną i najłatwiejszą. „Napróżno poszukuję Pani we wszystkich salonach naszych!“ Czyż nie bywalec — może coś podobnego powiedzieć? Fuszer wyjąknie niezawodnie „szukam Pani wszędzie“, ale praktyk wyjeżdża z salonami, bo to od razu dobrze kobietę usposabia. A więc bywa w salonach? — myśli sobie. — Więc to nie pospolity napastnik? Nie żaden donżuan uliczny, ale człowiek, którego istotnie zajęłam i który za mną tęskni? Kiedym już wyrzekł swoje, milczę i czekam. Odpowie, albo nie odpowie. I oto w tym

momencie ważą się moje losy. Wóz albo przewóz. Zresztą — wszystko to zależy od socyalnej pozycji kobiety zaczepionej. Zupełnie inaczej zachowuje się w takich razach panna, a zupełnie inaczej — mężatka. Panna płoszy się, nic nie odpowiada i przyśpiesza gwałtownie kroku. Ja robię to samo, i tak pędzimy we dwoje: ona naprzód, ja za nią, co nieco wygląda na pogoń wierzyciela za dłużnikiem. Oboje ledwie dech złapać możemy. A ile przytem bywa bolesnych niespodzianek! ot — pamiętam, onegdaj, urządzam podobną pogoń za bardzo ładną facetką — panną — i zdaje mi się, że moje akcyje już idą w górę, a tu w tem łapie mnie za rękaw Felek, mój kolega z gimnazjum, obecnie notaryusz w Ryczywołach i krzyczy w najlepsze: — Jak się masz, chłopie! — Śliczna niespodzianka — co?! To jest po prostu szczyt nieaktu, żeby kogo w takiej chwili zatrzymywać na ulicy! Prawda, że z Felkiem nie widziałem się od czterech lat i że żyliśmy z sobą zawsze jak dwaj bracia, ale nawet na ołtarzu przyjaźni nie można składać tak wielkiej ofiary, jaką jest ładna kobieta, na którą się poluje! Myślicie może państwo, że się zastanowił choć chwilę, co mam robić? Uchowaj Boże! Wyrwałem się Felkowi przemocą krzyknąłem mu tylko: — Przepraszam cię, nie mam teraz czasu! — i poszedłem dalej. Idę, idę za oną ślicznotką, rzucam jej po drodze jakieś słówko ulotne i szedłem tak z godzinę... Naraz ona —

buch! — w bramę, ja za nią, ona do sieni, ja także, chcę wejść, a tu naraz trzasnęła drzwiami tak silnie, że mi cylinder spadł na ziemię. Chciałem co prędzej pobiedz za nią na górę, ale nie mogłem tego zrobić, ponieważ drzwi zatrzasnęły się na jakiś przeklęty, cudaczny zamek i żadną miarą nie byłem w stanie ich otworzyć. W ten sposób mniej więcej postępują sobie z mężczyznami prawie wszystkie panny, dla tego też szanujący swoje powołanie mężczyzna pannom daje zwykle pokój.. to nie jest bynajmniej wdzięczny ani podatny materiał... panna to jest takie stworzenie nijakie i nigdy nie wiadomo, z jakiej beczki z nią zacząć, to też najlepiej nie zaczynać wcale. Mniejsza jednak o nią, ale gorzej stało się z Felkiem, który na drugi dzień przysłał mi list, pełen wymówek i żółci. Co prawda, miał świętą rację. Wyobraźcie sobie, państwo, ten poczciwy chłopiec przyjechał umyślnie z Ryczywołów do Warszawy, żeby mnie zaprosić na swój ślub, jako starszego družbę! Naturalnie, że po tak pięknem powitaniu, jakie go spotkało z mojej strony, pomyślał sobie z goryczą, iż go znać nie chcę, dał więc spokój zaproszeniu i następnego dnia wyjechał. Napisał mi tylko kilka słów, w których wyrzuca mi czarną niewdzięczność i zapomnienie starej przyjaźni! A wszystko dla tego, że się niepotrzebnie przystawiał do panny! Stanowczo z pannami nie ma żadnego interesu! Ja też z pannami nie mam nic wspólne-

go! Zresztą, panny mają brzydki zwyczaj odsyłania do mam! Zupełnie co innego — mężatki! Bo panna—to jak orzech w skorupie. Musisz koniecznie zgryść skorupę, przyczem nie trudno wyszczerbić sobie ząb! Mężatka zaś—to orzech bez skorupy. Na skorupie nadłamał już sobie zęby—mąż! Zresztą panna, przy ataku ze strony mężczyzny drży najczęściej jak spłoszona sarna, a mężatka wytrzymuje atak z dzielnością pantery, kiedy się do niej zbliża... panter... panter... Zapomniałem, jak to się nazywa pantera płci męskiej... zresztą wszystko jedno... (z uśmiechem) w mineralogii byłem zawsze trochę tępy... Ale z mężatkami jest także pewna niewygodność... Ba, i jaka jeszcze. A najgorsze jest to właśnie, że każda z nich ma męża! No, wreszcie niema się czemu dziwić, bo gdyby mężatka nie miała męża, toby się nie nazywała mężatką, ale wdową, albo rozwódką. Otóż ci mężowie są tedy największą dla nas przeszkodą w zawieraniu znajomości z mężatkami! Państwo nie macie po prostu pojęcia, jak ci mężowie nie lubią, aby zaczepiać ich żony! Okropnie tego nie lubią. Pamiętam, zaatakowałem niedawno mężatkę. Przez całą drogę milczała. To też zaciągnęła mnie aż do mieszkania. Może to już wdowa? — myślę sobie — albo może męża nie ma w Warszawie? Wszedłem do pokoju. (p. ch.). Mąż był w domu... Żeby nasze powitanie było bardzo serdeczne, tego powiedzieć nie mogę... nie!

(*chwyta się za rękaw, jak gdyby doznawał wrażenia bólu*). Nawet rozgniewał się trochę... bo on także należał do tej kategorii mężów, którzy nie lubią, aby ktoś zaczepiał ich żony... Wszedłem stamtąd bez humoru i postanowiłem odtąd być ostrożniejszym nawet z mężatkami... Stanowczo, nasz zawód jest trochę niebezpieczny (po chw.) No, wszystko to jest dobre, ale (*rozgląda się bacznie po sali*) gdzież jest ta urocza niewiasta, za którą przyszedłem aż tutaj... (*sposstrzega ją między publicznością*) Ach... jest! Widzę ją... widzę!... Zasłania się wachlarzem!... Wstydzi się! To dobry znak... Nic dziwnego, że się wstydzi... tyle publiczności! Ale to nic nie szkodzi... ja będę czatował na panią... przy wyjściu... tam w sieni... przy szatni... bo ja muszę się dowiedzieć, kto pani jest... inaczej bym tej nocy nie zasnął... słowo honoru, że ja się wszystkiego o pani dowiem!...

OWSIEJ CHASKIELOWICZ RYWKIN — NA ESTRADZIE.

Cy ałte szworc jur mit dy gance chochmes! Wus sy du epes a bojkot? Czto eto takoe? Ja, sława Bogu, żył dziesięć lat i w Siemiatycze i piętnaście lat w Berdyczew, dwadzieścia lat w Kijewie, no takie bezrozumne fokusy jak w Warszawie, to ja jeszcze nie widział. No co

to za miasto jest ta cała Warszawa! To miasto jest? Ja był i w Berlin — to ja widział miasto, ja był i w Paryżu — to ja widział miasto, ja był i w Londoniu — to ja widział miasto, ja był i w Moskwie — to ja widział miasto, no tu? I w Moskwie jak ja wziął żurnał do ręki, to ja sobie zasłonił od gębę do nogi, i w Berliniu jak ja widział zaćmienie słońca, to było zaćmienie, i w Paryżu jak ja wszedł do kabak, to był kabak i w Londoniu jak ja siedział w konkie, to ja wiedział, że ja siedzę w konkie. No tu? Und dy aße polnische gojen? To ludzie jest? I w Moskwie to są ludzie, och, jakie ludzie! Dusza raduje się na samo wspomnienie — jakie ludzie! Taki fonie i z Moskwy to on tylko powiedział:

— Ach, ty żid parsziwy! — i zaraz zrobił interes a jaki interes, kakoje dzieło, to tu polacziszki i w Warszawie nawet na oczy swoje nie widzieli!

I wot, chociaż u nich dzieła, prosto śmiech każdego komercyjnego człowieka ogarnąć może, oni tak się naduwają niby Sawwa Morozow i z Moskwy, niby Brodzki i z Kijewa albo choćby jakiego Szelechowa albo Lurie! No, czort pobierz, pomyślałem sobie, może oni i mają przyczynę hardo nosić swe puste żywoty a tak jak ja nie całkiem jeszcze wtajemniczony w centralne życie istinnych Polaków, jak niedawny mieszkaniec i w przywilejskim kraju, tak ja podszedł do telefona i zadzwonił:

— Kto u telefona — pytam ja się — czy sam pomocnik pristawe?

— Toczno tak's — była odpowiedź.

— Ach, jak przyjemnie slyszeć mnie wasz głos, Ilja Mitrofanowicz! Zróbcie mnie odłuzenie — proszę ja — miły mój, i zajezżajcie do mnie w piątek wieczorem na dom na rybę z łokszyną a to mnieby przyjemnie było na konto polsko-żydowskiego woprosa z wami pobiesiadować. I żona moja i doczki i synki też będą wam bardzo radzi! Miłości prosim, nie odmawiajcie!

— Owsieju Chaskielowiczu — przენigdy! Przyjadę awtomobilem! — odpowiedział Ilja Mitrofanowicz — a póki, żonco, Chanie Mojsiejewnej, kłaniam się waszej bardzo nizko!

Ilja Mitrofanowicz, sam pomocnik pristawe, mój lepsiejszy druh, potrzebował przylecić do mnie na dom na skrzydłach.

Ja się nie potrzebuję pochwalić, co on jadł i co on pił i wiele on jadł i wiele on pił, bo za to nikt nie zapłaci, tylko ja, z mojej własnej kieszeni, no jeżeli mnie to przyjęcie kosztowało może dziesięć prawdziwych rubli, to ono było warte dziesięć razy tyle, bo ja już teraz z polsko-żydowskim woprosom jestem jak w komisjonno-manu — fakturnej części.

— Miły mój — pytam ja Ilję Mitrofanowicza, jako czyn sławnej policji warszawskiej, po-



wiedźcie mi, są li polaczyszki w prywiślinskim kraju na jakkich osobnych prawach?

— Da jakież tam mogą być osobne prawa? Rząd jest sprawiedliwy dla wszystkich jednako-wo i co robi, tak robi po prawie. A z dobrodziejstwa tego prawa mogą korzystać wszyscy bezraz-licznie.

— Wot, mądry rząd — mówię—i mądra od-powiedź. Tak, znaczy się, żadnej różnicy między żydami a polakami nie robi?

— Żeby wzbudzać nienawiść jednej części ludności względem drugiej? Prawo na to nie po-zwala, a rząd trzyma się prawa jak dziecko matki.

— To znaczy?

— Że żydzi i polacy — wszystko równo. Niech żyją w zgodzie.

— To dla czego, powiedzcie mi, przemiły Ilja Mitrofanowicz (tu ja jemu nalał jeszcze kie-liszek słodkiej wódki, domowej roboty) dla czego polaczyszki, nie mając za sobą żadnego prestiżu, buntują się przeciwko żydom?

— Mało li co! A jakież to zresztą bunt!

— Bunt—to bunt!

— Da jakież bunt! Fizyczny-li ili duszewny? Jeśli-by fizyczny, tak jaby tu w tej chwili w wa-szym serdecznym domu, Owsiej Chaskielowicz, nie sterczał niepotrzebnie a wdrażałby porządek gdzie należy: jeśli zaś duszewny — tak taki bunt

nie po policyjnej części, a raz może być bunt, nie będący po policyjnej części, tak na taki bunt żal nie tylko alarmu ale i słowa!

— Pocieszyli wy mnie, drogi — powiedział ja do Ilji Mitrofanowicza —a to ja już myślał so-bie, że polaczyszki na osobnych prawach będący, w puch i prach roznieść nas mogą...

— Da uspokójcie się, głęboko uważający Owsiej Chaskielowicz...

— Koniecznie, że ja już jestem uspokojony. Raz fizyczny bunt jest po policyjnej części a du-szewny bunt nie zalicza się do żadnej części, to dla czego ja już nie mam być spokojny?



63183

## SPIS RZECZY.

|                                                      | Strona |
|------------------------------------------------------|--------|
| Z pod Nr. 7 . . . . .                                | 5      |
| W menażeryi . . . . .                                | 8      |
| Żona . . . . .                                       | 9      |
| Na peronie kolejowym . . . . .                       | 14     |
| Moja Dulcynea . . . . .                              | 17     |
| Scenka w tramwaju . . . . .                          | 21     |
| Świetna partya . . . . .                             | 23     |
| Wiesz co, miałem komornika? . . . . .                | 27     |
| Monolog mojej żony . . . . .                         | 28     |
| List do mojej narzeczonej . . . . .                  | 33     |
| Symcha kelner . . . . .                              | 36     |
| Pechowiec . . . . .                                  | 38     |
| Róża i motyl . . . . .                               | 42     |
| Niewzruszona . . . . .                               | 43     |
| Dwie drogi . . . . .                                 | 46     |
| Tęczowy ideał . . . . .                              | 48     |
| Wojtek w Brazylei . . . . .                          | 49     |
| Monolog furmana . . . . .                            | 51     |
| Teściowa . . . . .                                   | 52     |
| Stary kawaler . . . . .                              | 57     |
| Dorobkiewicz . . . . .                               | 62     |
| Mąż i Żona . . . . .                                 | 71     |
| Ekonomja Kurjerowa . . . . .                         | 71     |
| Bankrut Warszawski . . . . .                         | 72     |
| Piśmiennictwo . . . . .                              | 72     |
| Trójkąt małżeński . . . . .                          | 73     |
| Naręczony . . . . .                                  | 73     |
| Pali się . . . . .                                   | 79     |
| Sielanka . . . . .                                   | 80     |
| Pan Nieśmiałowski . . . . .                          | 81     |
| Zięć . . . . .                                       | 85     |
| Monolog z kozła . . . . .                            | 91     |
| Pan Feinmesser — meblarz . . . . .                   | 95     |
| Donżuan . . . . .                                    | 97     |
| Owziej Chaskielowicz Rywkin — na estradzie . . . . . | 107    |

- Babunia**, komedja w 2 aktach przez *M. Gawalewicza* (5 męż. 2 kob.).
- Monologi**, przez *F. Reinsteina*.
- Teodolinda**, krotchwila w 1 akcie przez *J. B. Szwetzerza* (3 m. 3 k.).
- Majster i czeladnik**, komedja w 2 aktach przez *Józefa Korzeniowskiego* (5 m. 2 k.).
- Folwark Primarose**, komedja w 1 akcie przez *Cormon i Dulertre* (3 m. 1 k.).
- Dzienniczek Justysi**, komedja w 1 akcie przez *J. Kościelskiego* (2 m. 2 k.).
- „Wiecznie“**, komedja w 1 akcie przez *K. de Courcy* (3 m. 1 k.).
- Prelegent**, fraszka w 1 akcie przez *J. Kościelskiego* (3 m. 1 k.).
- Pacjent № 1-szy**, humoreska w 1 ak. przez *A. Starkmana* (3 m. 5 k.).
- Zaproszenie do walca**, komedja w 1-ym akcie przez *Aleks. Dumasa* (6 m. 3 k.).
- Na balkonie**, fraszka sceniczna przez *A. G. Cagna* (1 m. 1 k.).
- Chateau Yquem**, krotchwila w 1 akcie przez *W. Busnach'a* (2 m. 2 k.).
- Model na bohaterkę**, komedja w 1 ak. przez *H. Holpein'a* przekład *W. Bogusławskiego* (2 m. 1 k.).
- Partja pikieły**, komedja w 1 akcie przez *Bayarda i Cornu'a* (4 m. 1 k.).
- Marynarz**, dramat w 1 ak. p. *A. Theurieta* (2 m. 1 k.).
- Pierwsza chmura**, bluetka w 1 akcie przez *A. Stociego* (1 m. 1 k.).
- Nieboszczyk swatem**, kom. 1 ak. p. *Alfa* (3 m. 3 k.).
- Pożyc mi swej żony**, komedja w 2 aktach przez *M. Desvalieres* (5 m. 4 k.).
- Najlepsza broń**, komedja w 1 akcie przez *F. Strzeckiego* (4 m. 1 k.).
- Na raucie**, kom. w 1 ak. p. *F. Strzeckiego* (3 m. 2 k.).
- W pułapce**, komedja w 1 ak. przez *Alfa* (4 m. 4 k.).
- Nic bez przyczyny**, kom. w 1 ak. przez *P. Bayarda* (1 m. 2 k.).
- Monologi**, (dla pań) I, przekład z francuskiego.
- „ (dla pań) II,
- Adam i Ewa**, komedyjka w 2 aktach (2 m. 1 k.).
- Z deszczu pod rynnę**, komedja w 1 akcie p. *P. E. Moreau* (3 m. 2 k.).
- Niema męża w domu**, komedja w 2 aktach, przekład z francuskiego (8 m. 3 k.).
- Między Scyllą i Charybdą**, komedja w 1 akcie przez *O. Feuilleta* (2 m. 3 k.).

29. **Siostra Lorecia**, kom. 1 ak. p. *F. Heysgo* (8 m. 5 k.).
- 30 i 31. **Jeden dzień, trzy odsłony** przez *Adama Krechowickiego* (8 m. 4 k.).
32. **Klucz od zatrzasku**, komedja w 1 ak. przez *Grange'a* i *Bernard'a* (6 m. 3 k.).
33. **Gapiątko z St. Flour**, komedja w 1 akcie z francuskiego (4 m. 2 k.).
- 34 i 35. **Humoreski sceniczne**, dla jednej i dwu osób grających przez *Z. Niedźwieckiego*. I. Oryginalne.
36. **Dzień św. Zofii**, obrazek dramatyczny w 1 akcie przez *Jul. Guillemt* (2 m. 3 k.).
37. **Guwerner**, kom. w 1 ak. p. *Z. Przybylskiego* (2 m. 5 k.).
38. **Nieudana próba**, krotoczwila w 1 akcie przez *Zygmunta Przybylskiego* (3 m. 5 k.).
- 39 i 40. **Humoreski sceniczne**, dla jednej i dwu osób grających przez *Z. Niedźwieckiego*. II. Tłómaczone.
41. **Krew nie woda**, krotoczwila w 1 ak. przez *Zygmunta Przybylskiego* (2 m. 1 k.).
42. **W korcu maku**, tragi-komedja w 1 akcie przez *Pawła Radeckiego* (2 m. 2 k.).
43. **Wdowa z musu**, komedja w 1 akcie przez *Zygmunta Przybylskiego* (3 m. 4 k.).
44. **Pożegnanie**, kom. w 1 akcie przez *Zygmunta Przybylskiego* (3 m. 1 k.).
45. **Odwet**, komedja w 1 akcie przez *Zygmunta Przybylskiego* (3 m. 2 k.).
46. **Polityka panny Florci**, komedja w 1 akcie przez *Zygmunta Przybylskiego* (2 m. 2 k.).
47. **Przezorna córka**, komedja w 1 akcie przez *Zygmunta Przybylskiego* (3 m. 2 k.).
48. **Przygody pana Edwarda**, komedja w 1 akcie przez *Zygmunta Przybylskiego* (1 m. 2 k.).
49. **Babula**, obrazek ludowy w 1 akcie przez *Zygmunta Przybylskiego* (2 m. 3 k.).
50. **Czary**, komedja w 1 akcie przez *Zygmunta Przybylskiego* (2 m. 4 k.).
51. **Nieboszczyk z przypadku**, żart sceniczny w 1 akcie przez *Adolfa Starkmana* (5 m. 2 k.).
52. **Anonim**. **Bluetka** sceniczna w 1 odsłonie przez *A. Starkmana* (4 m. 3 k.).
53. **Piorunem**, komedja w 1 akcie przez *Jerzego Orwicza* (3 m. 3 k.).
54. **Reduta na poddaszu**. Żart sceniczny w 1 akcie przez *Ed. Czaplińskiego* (4 m. 2 k.).
55. **Zapach piźma**. Humoreska w 1 akcie przez *Ed. Czaplińskiego* (3 m. 3 k.).
56. **Złote gody**. Komedja w 1 akcie przez *Zygmunta Przybylskiego* (9 m. 9 k.).

Liczby w nawiasie oznaczają ilość ról: m.—męskich —k.—kobiecych.

Cena każdego numeru kop. 25.